

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jacek Kaczmarek
Patrycja Volny

Życie do góry nogami

*Ewie i Dankowi,
Mai Dżoszowi i Danielowi
bez których australijska bajka by laby niepełna
Patrycja i Jacek*

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Dawniej, gdy byłam mała, miałam zupełnie inne przygody niż teraz. Raz nawet leżałam w łóżku przez cały dzień, ponieważ byłam chora. W zeszłym roku w lipcu byłam w Szczawie (nie za bardzo daleko od Krakowa, ale za to interesująco). Gdy przyjechaliśmy do Szczawy, było potwornie zimno; od razu włożyłam do łóżka i zasnęłam w jednej chwili. A kiedy mieszkaliśmy w Monachium i tatuś się rozchorował, leżał w łóżku i jęczał, to nasza kotka Tinia, która już nie żyje, weszła mu na głowę, żeby mu było lepiej.

Ale to było dawniej. A teraz opowiem, jak to się stało, że mieszkamy w Australii.

Tatuś powiedział, że jest zmęczony i jedziemy do Australii, bo tam się żyje inaczej. Tatuś pisał piosenki i śpiewał, więc ciągle nie było go w domu, a jak był, to spał albo krzyczał, że mu nie dają spać. Mama także chciała jechać do Australii, bo była zmęczona tym śpiewaniem, spaniem i krzyczeniem. Powiedziała, że w Australii tatuś będzie miał więcej czasu dla dziecka, czyli dla mnie. Ja tatusia bardzo kocham, ale chyba nie lubię, jak ma dla mnie za dużo czasu.

Do Australii leci się samolotem i ma się przesiadkę w Londynie. Nigdy nie byłam w Londynie, chociaż bardzo lubię latać samolotem. Ogląda się różne filmy na takim telewizorze w suficie i je się obiad z malutkich tacek takimi malutkimi sztućcami jak dla lalek i można poprosić stewardesę o tyle soku pomarańczowego, ile się chce. Mama boi się latać samolotem, ale tata powiedział, że w Londynie będziemy mieli czas na zobaczenie pałacu Królowej, więc westchnęła i poleciała z nami.

Na lotnisku w Londynie tata zawołał taksówkę. Bardzo śmieszną, taką wysoką i pękatą jak jedna pani w Szczawie. Powiedział, że ona jest specjalnie wysoka, żeby można było do niej wsiadać nie zdejmując cylindra. Kiedyś wszyscy nosili cylindry, jeśli chcieli być eleganccy i jeździć taksówkami. Teraz już się nie nosi cylindrów. Tata też nie miał cylindra i jak wsiadał do taksówki, to się uderzył w głowę i był zły. Kiedy tata jest zły, to lepiej nic nie mówić, ale to jest strasznie trudne. Chciałam powiedzieć, że przylecieliśmy do Londynu i jedziemy zobaczyć pałac Królowej, ale tatuś krzyknął, żeby przestała kłapać dziobem. Więc przytuliłam się do mamy, która nic nie mówiła, bo się boi jeździć samochodem. No ale też chciała zobaczyć ten pałac.

Jechaliśmy i jechaliśmy, padał deszcz, w taksówce jakoś tak dziwnie pachniało, a kierowca mówił coś do tatusia po angielsku, czego tatuś nie rozumiał, chociaż też mówił po angielsku. Za oknami cały czas były jakieś domki, ale nie takie ładne jak nasz w Szczawie. Bardzo nudny ten Londyn.

Mama miała zamknięte oczy, więc nie zobaczyła, jak przed nami pojawiła się nagle piękna aleja, z drzewami przyszyronymi tak, że wyglądały jak zwierzęta, a na końcu alei stał pałac Królowej, cały różowy. Weszliśmy po ogromnych schodach, na których po bokach stali eleganccy lokaje, wszyscy w cylindrach, i pokazywali nam, którą trafić do Królowej. Ten pałac był piękny. Wszędzie wisiały złote kotary, a na czerwonych, rzeźbionych meblach leżały słodkie pieski, kotki i świnki. Były malutkie i miały naprawdę królewskie kokardy. Królowa też była piękna, w różowej sukni, z włosami jak doktor Quinn. Zaprosiła nas na kolację. Trochę dziwna była ta kolacja, bo lody podano na plastikowych tackach, jak w samolocie, ale jak się jest zaproszonym, zwłaszcza do Królowej, to się nie grymasi.

– Jak ci się podoba mój pałac, Patrycj? – spytała mnie Królowa, a ja odpowiedziałam, że bardzo i że może do mnie mówić Pacia, bo tak na mnie mówią wszyscy, no i gdzie jest Król? Tatuś spojrzał na mnie groźnie, jakbym powiedziała coś złego.

– Och – uśmiechnęła się Królowa – jeździ gdzieś po świecie i śpiewa. To prawdziwy Konik Polny. Ale może to i lepiej, bo kiedy wraca do pałacu to tylko śpi albo krzyczy, że mu nie dają spać.

Roześmiałam się na cały głos, bo to przecież śmieszne, że królowie zachowują się tak samo jak tatusie, i klasnęłam w ręce. Nie wiem jak to się stało, ale moja tacka z lodami spadła przy tym na podłogę.

– No i popatrz, co robisz! – zawołała mamusia, jak zwykle w takich razach. – Zupełnie nowy dywan!

Zeskoczyłam z krzesła, żeby posprzątać zanim tatuś zacznie krzyczeć, a tam, pod stołem, zlizywał z dywanu moje lody przepiękny puszysty rudy kot.

– Możesz go mieć – powiedziała Królowa z miłym uśmiechem. – Przyda ci się taki słodki przyjaciel w Australii. Weź go sobie ode mnie na pamiątkę. Mam jeszcze bardzo dużo innych zwierzątek.

I wtedy stała się rzecz straszna. Tatuś odłożył z trzaskiem sztucę, spojrzał na Królową okropnym wzrokiem i wrzasnął na cały głos:

– Wiesz, że przy jedzeniu się nie mówi! Przestań kłapać dziobem!

Obudziłam się przestraszona na lotnisku. Mamusia powiedziała, że zasnęłam w taksówce i nie chcieli mnie budzić.

– Wielka szkoda – dodał surowo tatuś – nie wiem kiedy znów będziesz miała okazję zobaczyć Londyn i pałac Buckingham.

Ale mamusia powiedziała mi potem, że nic nie straciłam, bo cały czas padało, przed pałacem był okropny tłum ludzi, więc nawet nie wysiedli z taksówki, tylko objechali go dookoła i wrócili na lotnisko. Zdaje się, że widziałam dużo więcej niż oni.

Z Londynu do Australii leci się strasznie długo. Cały czas myślałam o pięknej Królowej i jej zwierzątkach. Stewardesa dała mi kolorowy zeszyt i ołówki, żeby mi się nie nudziło, więc postanowiłam napisać bajkę. Nazwałam ją bajką o śwince złotonóżce.

Dawno temu za górami, za lasami żył sobie Król. Król rządził, a Królowa miała małą farmę w ogrodzie. W jednej z zagród były świnki. Królowa najbardziej lubiła taką świnkę, której nóżki były pomalowane na złoty kolor. Natomiast Król nie lubił tej świnki; lubił tylko te z różowymi nóżkami, więc pewnej nocy, gdy wszyscy już spali, podszedł do klatki ze świnkami, wziął na ręce świnkę Królowej i wypuścił ją w świat. Był jednak lekkomyślny i zostawił klatkę otwartą, więc inne świnki poszły za złotonóżką. W ten sposób ani Król, ani Królowa nie mieli już swoich świnek i było to bardzo smutne królestwo!

II

Wszyscy wiedzą, że w Australii mieszkają kangury i misie koala, więc jak tylko przyjechaliśmy, to chciałam je zobaczyć albo jeszcze lepiej mieć takiego misia na własność. Ale najpierw mieszkaliśmy u cioci Ewy i wujka Danka, a oni mieli w domu tylko synów Daniela i Dzosza, córeczkę Maję i psa Brena. Tatuś powiedział, że jak już będziemy mieli własny domek z ogródkiem, to kupi mi psa, a jak będę się nim ładnie opiekowała, to pomyśli o innych zwierzątkach. Więc na razie bawiłam się z Mają i Brenem, bo Dżosz ma już jedenaście lat i woli grać w koszykówkę albo jeździć na takich wrotko-łyżwach. Też bym wolała, ale jeszcze wtedy nie umiałam, a Dżosz umie wszystko najlepiej. I w dodatku jest bardzo przystojny. Mamusia mówi, że Daniel też jest bardzo pięknym chłopcem, ale on jest już stary. Jest już chyba nawet studentem i wciąż czyta książki w toalecie.

Bawiłyśmy się z Mają, że ona jest małą koalą, a ja jej mamusią. Maja była bardzo niegrzeczną koalą. Trzymałam ją mocno obiema rękami, żeby nie spadła z drzewa i żeby nic jej się nie stało, a ona ciągle się wyrywała i krzyczała, że to ona chce być mamusią. Zgodziłam się wreszcie być małą koalą, chociaż Maja jest mniejsza ode mnie i nie mogła mnie trzymać na rękach. Na mamusię też się nie nadawała, bo cały czas krzyczała na mnie, żebym nie zabierała jej zabawek i nie chowała do kieszeni. A koale to nie są prawdziwe misie, tylko torbacze, więc ja udawałam, że mam taką torbę na brzuchu i wkładałam tam zabawki, jak prawdziwy mały niedźwiadek koala.

Potem tatuś powiedział, że dorosłe koale noszą swoje małe na plecach i zgodził się być tatusiem koalą. Wdrapałyśmy się z Mają na jego plecy i było bardzo fajnie, ale tatuś szybko poczerwieniał, zaczął sapać i położył się na podłodze. Wyglądał raczej jak zmęczony wielbłąd, a nie tatuś koala.

Potem postanowiłyśmy, że Bren będzie kangurem, a my go nauczymy różnych sztuczek. Tak naprawdę Bren jest bokserem, ale bardzo łagodnym. Lubił się z nami bawić, ale nie umiał skakać jak kangur, no i nie miał torby. Maja znalazła ładną torebkę cioci Ewy i przywiązała Brenowi do brzucha, no i poszłyśmy do buszu uczyć go skakać. Busz to taki australijski park, gdzie różne dziwne rośliny rosną jak chcą, prosto na piasku, i nikt o nie nie dba. Najpierw Maja, a potem ja pokazywałyśmy Brenowi jak skacze kangur. To było bardzo przyjemne, bo zawsze lądowało się w piasku. Czasem tylko można się było zadrapać, jeśli jakiś krzak był za wysoki. Ale Bren nie chciał się uczyć. Uciekał nam w zarośla. Musiałyśmy pobiec za nim, żeby się nie zgubił. W buszu można łatwo zabłądzić.

Na szczęście Bren zatrzymał się w takiej wysokiej trawie i próbował coś złapać łapą. To była jaszczurka, bardzo duża, szara w żółte pasy. Bren nie chciał jej zjeść, bo bokserzy nie jedzą jaszczurek tylko konserwy z płatkami owsianymi, ale chciał się pobawić. Przycisnął ją łapą i lizał, a ona syczała i pluła. Wzięłyśmy Brena na smycz i zaciągnęłyśmy do domu, żeby nie zrobił krzywdy biednej jaszczurce.

W domu Bren zachowywał się bardzo dziwnie. Kładł się pod ścianą, a jak wstawał, to się przewracał. Potem zaczął wymiotować. Ciocia Ewa okropnie się zdenerwowała. Powiedziała, że trzeba iść do weterynarza. Wtedy ja opowiedziałam o jaszczurce, a Maja krzyknęła że może to był wąż. Ciocia Ewa spojrzała na nas przerażona.

– Jaszczurka czy wąż? – zapytała i widać było, że to bardzo ważne. Maja wołała, że wąż, ale ja widziałam lepiej i mam mocniejszy głos, więc krzyknęłam, że jaszczurka, taka wielka, brązowa i zielona, a syczała pewnie dlatego, że w tej trawie miała małe i bała się, że Bren zrobi im krzywdę. I że Bren jej nie ugryzł ani ona nie ugryzła Brena, tylko on ją lizał, a ona na niego pluła.

– Jedziemy do lekarza – powiedziała ciocia Ewa – i ty, Paciu, pojedziesz z nami. Ten lekarz mówi po polsku. Opowiesz mu o jaszczurce.

Ale zanim pojechaliśmy do lekarza, trzeba było znaleźć klucze do samochodu. Okazało się, że były w tej torebce przywiązanej do brzucha Brena, a Maja oczywiście zapomniała ją zamknąć na suwak. Musiałyśmy więc znowu pójść do buszu, i to z latarką, bo już zrobiło się ciemno. Zresztą dzięki tej latarce znalazłyśmy klucze bardzo szybko, po jakiejś godzinie, bo błyszczały w piasku. Ciocia Ewa wcale na nas nie krzyczała. Mój tatuś by wrzeszczał. Bardzo kochana jest ciocia Ewa!

Lekarz był bardzo sympatyczny. Młody, ale z siwą brodą i wąsami, i cały czas rozmawiał tylko ze mną. Opowiedziałam mu dokładnie jak wyglądała jaszczurka, ale tylko westchnął i powiedział, że takich jaszczurek nie ma. Więc zgodziłam się, że to mógł być wąż, bo prawdę mówiąc nie mogłam sobie przypomnieć, czy ta jaszczurka miała łapki.

– Takich węży też nie ma – westchnął znowu lekarz i pomyślałam sobie, że on pewnie nie zna się na jaszczurkach i wężach, bo przecież jest lekarzem od psów.

Bren dostał zastrzyk i został u lekarza na wszelki wypadek, gdyby mu się pogorszyło. Ale już następnego dnia był zdrowy i kiedy przyjechał do domu, to skakał z radości, jakby naprawdę był kangurem.

Po tym wszystkim ciocia Ewa powiedziała, że zawiezie nas do takiego parku, gdzie mieszkają prawdziwe kangury i misie koala. Mamusia pojechała z nami, bo się bała, że ciocia Ewa nie da sobie z nami rady. Moja mamusia wszystkiego się boi!

Ten park był piękny! Zwierzęta chodziły sobie na wolności, strusie emu, kangury, papugi gale – całe szare, z różowymi brzuskami i główkami. Jedna zupełnie się mnie nie bała i usiadła mi na ramieniu. Coś do mnie mówiła, ale chyba po angielsku, bo zrozumiałam tylko „helou?” co oznacza „cześć!” z takim słodkim znakiem zapytania, jakby mówiła „jak się masz?” Ona była rozkoszna i strasznie ją chciałam mieć na własność. Ale najpierw miałam mieć psa i ładnie się nim opiekować.

Kangury pozwalały do siebie podchodzić, można je było głaskać, zwłaszcza jak się miało dla nich marchewkę. Brały marchewkę w przednie łapki, siadały na ogonie i chrupały, aż im się zamykały oczy z takimi długimi rzęsami. Mnie udało się dać jedną marchewkę mamie kangurzyca, a drugą jej córeczce, którą miała w torbie na brzuchu. To było rozkoszne! Maleństwo też już umiało chrupać marchewkę, którą trzymało w łapkach, i mogłam się do nich przytulić, żeby ciocia Ewa zrobiła nam zdjęcie!

Przed Mają kangury oczywiście uciekały, bo cały czas głośno je wołała i za szybko chciała do nich podejść. Ona jest stanowczo za mała, żeby mieć własne zwierzątko. Już wystarczy, że pierwsza ode mnie ma psa.

Potem chciałyśmy jeszcze mieć zdjęcie z koalą, ale pani, która opiekowała się koalami, powiedziała, że do tego trzeba być dorosłym. Więc poprosiłam moją mamę, żeby wzięła koalę na ręce, a ja stanę obok. Mama się trochę dziwiła, bo do tego trzeba założyć specjalną kamizelkę, podobno żeby się nie dać podrapać. Ale potem pogłaskała nawet koalę, który wyglądał tak, jakby specjalnie go to nie obchodziło. Mama chyba się obraziła, bo powiedziała potem, że miś śmierdzi. One cały czas siedzą na drzewach i śpią. Zupełnie jak tatuś, kiedy wracał z występów!

Niedługo potem okazało się, że Maja i ja mamy wszy, a mamusia kleszcze. Wszy mieszkają we włosach, a kleszcze wbijają się pod skórę i nie można ich wyrwać, bo wtedy główka zostaje w ciele i można dostać zapalenia mózgu. Ciocia Ewa powiedziała, że wszy to pewnie od kangurów. A kleszcze może od koali? Moja mamusia okropnie się przestraszyła, że dostanie zapalenia mózgu i umrze zanim będę dorosła. Chyba bała się, że tatuś nie da sobie ze mną rady. Zresztą ja też nie chciałam, żeby mamusia umarła.

Z wszami nie było kłopotu. Musiałyśmy tylko natrzeć sobie głowy taką piekącą białą pianką, zmyć szamponem, a potem wyczesać włosy grzebieniem umoczone w occie. Po

trzech tygodniach powinno poskutkować. Trzeba było uprać całą pościel i wszystkie ubrania Mai i moje, no i poszewki na poduszki, obicia na wszystkich meblach i jeszcze na wszelki wypadek zasłony. Ale z kleszczami to było skarcenie boskie.

Ciocia Ewa powiedziała, że trzeba je posmarować alkoholem, to same odpadną od skóry. Więc tatuś codziennie smarował je koniakiem z butelki wujka Danka, bo innego alkoholu nie było, mamusia nie pozwoliła kupić, a wujek Danek był w podróży. Tatuś, który bardzo lubi koniak, złościł się, że taki dobry alkohol marnuje się na kleszcze. Musiał być dobry, bo wcale nie chciały puścić.

– Jak ktoś jest pijany, to trzyma się mocno czego popadnie, nawet ciebie – mówił tatuś, śmiejąc się i smarując mamusię.

– No cóż, może by tak spróbować psychoterapii? – odpowiadała mamusia, puszczać oko do cioci.

Potem próbowaliśmy nafty i cały dom śmierdział, a tatuś przeniósł się spać na kanapę, świeżo wypraną z powodu wszy. Nafta nie pomogła. No to ciocia Basia, mamy przyjaciółka, która nie chce, żebym do niej mówiła ciocia, tylko po prostu Basia, doradziła lakier do paznokci. Jak lakier wyschnie, to kleszcz się dusi, bo nie ma powietrza – i puszcza. Biedna mama! Jak ma zrobić manicure, to przedtem cały dzień jest zła, tak tego nie lubi, a teraz musiała to robić na całym ciele raz po raz!

Wreszcie ciocia Ewa zaprowadziła mamę do lekarki, która wydlubała mamusi kleszcze. No bo z zapaleniem mózgu nie ma żartów. Trochę się nudziłam, kiedy wszyscy w domu zajmowali się wszami, kleszczami i praniem, więc usiadłam i napisałam bajkę o gadającym lesie.

I to jest właśnie ta bajka:

Pewnego razu żył sobie myśliwy. Kiedyś poszedł do lasu na polowanie i nagle usłyszał coś, co mówiło do niego: „O, myśliwy, nie zabijaj moich krewnych, a spełnię jedno twoje życzenie!”

Ale myśliwy powiedział: – Ja muszę polować, bo inaczej moja rodzina umrze z głodu – i poszedł dalej.

Ale las nie dał za wygraną i wciąż wołał: „O, myśliwy, nie zabijaj moich krewnych, za to spełnię dwa twoje życzenia!”

– Nie – powiedział myśliwy. – Mówiłem już dlaczego. Poszedł dalej, złapał jastrzębia i powędrował do domu. Po drodze spotkał staruszkę, która powiedziała:

– O, mój drogi chłopcze, daj mi tego jastrzębia, a uczynię cię bogatym! Wtedy myśliwy dał jej jastrzębia, ale wcale bogatym się nie stał, bo ta staruszka to była dusza lasu i chciała tylko uratować jastrzębia.

Tatusiowi bardzo się ta bajka podobała. Pocałował mnie, powiedział, że jestem bardzo zdolna i muszę szybko iść do szkoły, żeby nauczyć się pisać po angielsku.

Więc poszłam do szkoły. Byłam tam całe cztery godziny. Pisać się wcale nie nauczyłam, ale znowu przyniosłam do domu wszy.

III

No, Silwanę chyba szczyści!—oświadczyła mama.

– Nie przy dziecku – powiedział tata. Mama zawsze tak mówi, kiedy jej się coś bardzo podoba, i tata zawsze jej tak odpowiada. Więc dobrze to zapamiętałam, chociaż nie bardzo wiem, co to znaczy. Ale mnie się też bardzo podobał Nasz Domek.

Nie mieliśmy za dużo pieniędzy, więc długo trwało, zanim go znaleźliśmy. Chyba ze trzy tygodnie. Ale wreszcie się udało. Nasz domek w Australii ma to, o czym marzył tatuś, czyli takie wystające z przodu okna z małymi szybkami. I warsztat. Ma to, o czym marzyła mamusia, to znaczy dużą kuchnię, która jest częścią salonu. Ma też sypialnię z lustrem na całą ścianę. W ten sposób mamusia może gotować i jednocześnie rozmawiać ze mną lub z tatusiem, a w nocy, kiedy nie może zasnąć, może się przeglądać w lustrze i przymierzać stroje. Mamusia często nie może zasnąć, bo się martwi, z czego będziemy żyć, jak nam zabraknie pieniędzy. Ja się tym nie martwię, bo w razie czego mogę jeść tylko hamburgery albo smażoną rybę z frytkami. W Australii jedzą to wszystkie dzieci. Najważniejsze, że nasz domek ma to, o czym marzyłam ja. Dwa małe pokoiki dla Paci – w jednym będę spała i się bawiła, w drugim bawiła się i uczyła – a przede wszystkim piękny ogród, zupełnie jak w „Księżce dżungli”. Są dwie ogromne palmy i cztery mniejsze, mnóstwo tropikalnych roślin z liśćmi wielkimi jak ludzkie palce, winorośl na werandzie i mnóstwo kwiatów. Pośrodku jest duży trawnik, na którym można się bawić, a pod płotem rosną tropikalne owoce: owoc pasyjny, cytryna i nektarynka. Cytryna i nektarynka są jeszcze małe, ale kiedy kupiliśmy dom, owoce pasyjne już dojrzewały i można je było jeść. Mają pomarszczoną fioletowozieloną skórkę, przecina się je na pół i wydłubuje łyżką ze środka żółciutkie, cierpkie pesteczki. Wujek Dawid, mąż cioci Basi, tej, która nie chce, żebym ją nazywała ciocią, powiedział, że najsmaczniejsze są z lodami waniliowymi. Więc jak nie będzie pieniędzy, to ja mogę jeść lody waniliowe z naszymi owocami pasyjnymi. To musi być bardzo zdrowe, bo wujek Dawid bardzo dobrze wygląda.

– Trzeba będzie zasadzić pietruszkę – westchnęła mama. W Australii nie ma takiej pietruszki jak w Polsce. Jest inna, która podobno tak nie pachnie i nie smakuje i mama nie może robić tych pysznych sznycelków, na które tata mówi kotlety. Tata powiedział, że możemy zasadzić pietruszkę, ale na razie są ważniejsze rzeczy do zrobienia.

To prawda. Cały dom był zastawiony kartonami pełnymi rzeczy, które przypląnęły statkiem z Europy. Tych kartonów było chyba ze sto! Przyjechały pod dom ciężarówką w trzech wielkich skrzyniach, których tatuś nie pozwolił wyrzucić po rozbiciu. Powiedział, że zrobi z nich meble. Zawały nam teraz cały garaż. Niektóre kartony były lekkie, bo w środku były moje zabawki: lalki, pluszowe zwierzątka i klocki lego, więc bardzo szybko je rozpakowałam i ustawiłam na podłodze w swoich pokojach. Ale inne były bardzo ciężkie. Przyjechały w nich książki tatusia, całe mnóstwo, i tatuś powiedział, że nie może ich rozpakować póki nie zbuduje półek, a nie może zbudować półek póki nie kupi odpowiednich narzędzi, żeby móc pociąć skrzynie na deski. Mama dała tatusiowi pieniądze na narzędzia, wzdychając:

– Ostatnie.

Spaliśmy na razie na podłodze, bo w Australii w ogóle jest ciepło, a poza tym zaczął się już listopad, czyli lato. Ale w nocy obudził nas okropny krzyk mamusi:

– Jacusiu! Jacusiu! Zabierz t o! Weź to, proszę, ode mnie!!! Tatuś z początku nie wiedział, co zabrać, ale kiedy otworzył oczy – zobaczył, że po poduszce mamusi chodzi maleńki różowy pajaczek. Mama strasnie się boi australijskich pajaków, a jeszcze bardziej robaków.

Więc tatuś zaczął rozpakowywać kartony, a mama spytała, co on wyprawia.

– Szukam szklanki – burknął bardzo zły, bo właśnie ukłuł się o sterczący widelec.

Tatuś jest bardzo mądry i bardzo kocha zwierzęta. Kiedy już znalazł szklankę, to przykrył nią pajęczka, który w tym czasie zawędrował aż do kuchni. Potem tatuś zaczął szukać kartki papieru. Dałam mu jedną z mojego zeszytu. Ostrożnie wsunął kartkę pod szklankę i w ten sposób pajęczek znalazł się jakby w akwarium. Wtedy tatuś odwrócił szklankę i wyniósł pajęczka do ogrodu. Mamusia trochę się uspokoiła.

– Żebyś mi się nie ważyła chodzić boso po ogrodzie! – powiedziała do mnie, zanim zasnęła.

Jakby taki pajęczek mógł mi zrobić krzywdę!

Tatuś też wkrótce zasnął, a ja leżałam z otwartymi oczami i patrzyłam, jak długie cienie palmowych liści chodzą po ścianie w kolorze księżycy. Wyglądały jak ogromny pająk, taki, który by się nie zmieścił w żadnej szklance. Usiadłam, żeby go lepiej widzieć, i wtedy zobaczyłam prawdziwego pająka, całego czarnego, z włochatymi łapkami, co przycupnął w rogu pokoju. Nie chciałam, żeby mamusia znów się przestraszyła, ale nie chciałam też budzić tatusia. Zresztą wiedziałam już, jak się obchodzić z pająkami. Wstałam cicho, wzięłam szklankę i podeszłam do pająka. Chyba mnie usłyszał, bo szybko przebiegł kilka kroków i zatrzymał się przy nogach tatusia. Nakryłam go jednym ruchem i wsunęłam pod szklankę kartkę papieru. Na kartce, która po ciemku była niebieska, widać go było wyraźnie. Miał przepiękną czamogranatową skórkę, trochę włochatą, i czerwoną plamkę na pupie. Chciałam, żeby rodzice zobaczyli, jak łatwo go złapałam i jaki jest śliczny, więc nie wyniosłam go do ogrodu, tylko na nalepce do zeszytów napisałam PAJĄK i przykleiłam ją do szklanki.

Rano wstałam pierwsza i poszłam do ogrodu. Kwiaty już otwierały się w słońcu, które prześwietlało liście palm jak zieloną bibułkę ze srebrnymi włosami. Postanowiłam, że w największym gąszczu ogrodu zbuduję dom dla siebie i Dżosza. Wzięłam trzy wielkie kartony, z których mamusia wypakowała już pościel, i ustawiłam je obok siebie. To będzie kuchnia, jadalnia i salon. Kiedy Dżosz wróci z koszykówki, będzie zmęczony i głodny, więc muszę mieć gdzie przygotować mu kolację. Potem będziemy rozmawiać w salonie przy kawie i on mi opowie, jak wygrał wszystkie mecze i jaki ma kłopot z wujkiem Dankiem, który chce, żeby Dżosz się uczył zamiast grać w koszykówkę. A przecież koszykarze zarabiają znacznie więcej pieniędzy niż uczeni. Wreszcie będzie się chciał położyć, więc musiałam dobudować sypialnię. Postanowiłam, że sypialnia będzie na piętrze. Wzięłam czwarty karton, postawiłam na tamtych trzech i szukałam właśnie desek i gwoździ, żeby zrobić schody, kiedy usłyszałam straszny krzyk.

Pobiegnęłam do domu, a tam tatuś skakał na jednej nodze, a mamusia stała na krześle i oboje krzyczeli. Tatuś nie zauważył mojej szklanki z pająkiem i nadepnął na nią, szklanka się stłukła, a pająk się przestraszył i uciekł. Jeszcze bardziej przestraszyła się mama, bo ta czerwona plamka na pupie pająka oznacza, że jest jadowity.

–Jeszcze dziś jedziemy kupić łóżka, słyszysz?! – mówiła, z czego wynikało, że chyba zostało nam trochę pieniędzy. Przypomniłam więc rodzicom, że obiecali mi psa, kiedy już będzie ten domek z ogrodem. Tata przestał sobie oglądać piętę, mama zapomniała o łóżkach i oboje patrzyli na mnie tak, jakbym nie była ich dzieckiem.

Jeszcze tego samego dnia każdy miał własne łóżko. Ja oczywiście nie dostałam psa, a tatuś chodził po domu i spryskiwał kąty sprayem na pająki. No cóż, przynajmniej dostałam prześliczne łóżeczko z białych wyginanych rurek, toaletkę z lustrem i fotelik. Ustawiłam na niej wszystkie moje skarby, a na drzwiach napisałam: „Pokuj Paci”. Rodzice, już zadowoleni, zapukali do mnie, a kiedy powiedziałam „proszę”, weszli objęci.

–Pokój pisze się przez „ó” z kreską. Pokuj... się w głowę, dziewczyno, o, tak – pokazał tata.

– Och, daj spokój, popatrz, jest prześlicznie! – powiedziała mama, a tatuś ją pocałował. Podbiegłam do nich, bo lubię się przytulać do rodziców, kiedy się całują.

Silvanę chyba oczyści! – zawołałam.

Tatuś zrobił się poważny i powiedział, że tak mówić nie wolno. Mamusia tak tylko żartuje, myśląc o swojej dawnej przyjaciółce, która wszystkim wszystkiego zazdrości. A kiedy ktoś tak zazdrości, to mu się w żołądku zbierają kwasy i wtedy go czyści, tak jak mnie, gdy zjadłam w Szczawie za dużo porzeczek. Ale żyje się nie po to, żeby nam inni zazdrościli, tylko żeby nasze życie było ładne.

Potem rodzice poszli dalej się rozpakowywać, a ja napisałam bajkę pod tytułem „Partnerka pana Saferki”.

Pan Saferki chodzi do szkoły tańca, ma jedenaście lat i jest niezdarly, ale przystojny. Wszystkie dziewczyny się za nim oglądają. Pewnego razu miał tańczyć z bardzo elegancką panną. Pan Saferki zakochał się w niej i wzięli ślub i żyli razem. Ale jego żona tylko leżała na kanapie i śpiewała piosenki, a Pan Saferki gotował, sprzątał i zmywał. Więc pewnego dnia rozwiedli się, bo jego żona była za leniwa, żeby z nim żyć, a pan Saferki ożenił się z inną panną, która była pracowita i dobra dla niego, kiedy wracał zmęczony do domu.

Poszłam zaraz do rodziców pokazać im tę bajkę, bo zawsze mnie chwala, kiedy coś napiszę. Weszłam do salonu, a tam wszystko już było rozpakowane, posprzątane i nawet obrazki wisiały na ścianach. W drzwiach wychodzących na ogród, cały zielony, pachnący, stała mamusia z tatusiem i opierała głowę na jego ramieniu.

– Silvanę chyba oczyści – orzekł tatuś.

IV

Ile razy ktoś przychodzi do nas z wizytą, rodzice przypominają mi, żebym była grzeczna, bo jestem gospodarzem i nieładnie jest obrażać się, krzyczeć, płakać lub zamykać w swoim pokoju. A kiedy my idziemy w gości, to też muszę być grzeczna, nie krzyczeć i nie obrażać się, bo jestem gościem w cudzym domu. Czasami wolałabym znowu być mała, kiedy nie rozumiałam, co się do mnie mówi.

Kiedyś mama powiedziała, że chyba diabeł we mnie wstąpił. Miałam pięć lat, ale już wiedziałam, że diabeł jest zły, i wcale nie chciałam, żeby we mnie siedział. Zamknęłam się w pokoju, zdjęłam majtki i zaczęłam się bić po pupie.

–Idź sobie, diable! Idź ode mnie! Idź!

Pupa mnie rozbolała, więc poszłam do mamy poskarżyć się, że ten diabeł nie chce wyjść, a bardzo boli takie wypędzanie. Mama mnie przytuliła i powiedziała:

– Żebyś wiedziała, córeczko. Oj, boli.

Teraz myślę, że ten diabeł specjalnie wyszukuje takie dzieci, które muszą być cały czas grzeczne. Żeby im zrobić na złość. Ostatnim razem, kiedy była u mnie Maja, cały czas byłam wzorową panią domu. Pozwalałam jej oglądać moje książki i kasety, bawiłam się z nią w ogrodzie, ale kiedy musiała już iść, to wzięła mojego ulubionego konika.

– Pożycz mi konika – zawołała na cały dom, a ja powiedziałam, że nie, i chciałam jej go zabrać, ale ona ma strasznie silne palce i nie puszczała. Więc zaczęłam tupać i krzyczeć i wszyscy się zbiegli. Wcale nie chcieli mnie słuchać, kiedy mówiłam, że ona ma swoje koniki i na pewno mi nie odda albo zamieni koniki i odda mi fałszywego, a ten jest specjalny. Tata powiedział, że nie mówi się o gościu „ona”, i żebym zachowywała się jak dorosła, bo przecież Maja jest młodsza. Coraz więcej dzieci jest ode mnie młodszych i im wszystko wolno! Powiedziałam, że to niesprawiedliwe i rozplakałam się. W końcu rodzice jak zwykle postąpili wbrew mojej woli i pozwolili Mai wziąć tego konika. To było okropne.

Ale tym razem okazało się, że diabeł dobrze zrobił, że do mnie przyszedł, bo następnego dnia nareszcie dostałam na pocieszenie prawdziwego żywego pieska!

Mamusia nie chciała się na tego pieska zgodzić. Wprawdzie psów się nawet nie boi, ale bała się, że będzie się musiała nim zajmować, a przecież ma cały dom na głowie. I tatusia. Przypomniałam jej, że to ja się nim będę ładnie zajmować, bo wtedy tatuś pomyśli o innych zwierzątkach dla mnie, a ja już wiedziałam, że chcę mieć papugę, koalę, takiego małego domowego kangura i konika. Konik by się nie zmieścił u nas w domu, ale jedna koleżanka w mojej klasie ma konika, który mieszka w stajni pod miastem, i ona do niego jeździ trzy razy w tygodniu, żeby go odwiedzić i przejechać się na nim. I on wie, że tylko ona jest jego panią.

Mój tatuś jest kochany. Powiedział mamie, że dziecko lepiej się wychowuje, kiedy ma własne zwierzę pod opieką. Mama powiedziała na to, że ma już dwa zwierzęta pod opieką i coś o tym wie, ale więcej się nie sprzeciwiała.

Mój piesek był rozkoszny. Miał sześć tygodni, oczywiście spaniel, cały złocisty, a jak patrzył na mnie, to mu się w oczach zapalały takie zielone diamenty. Kiedy przyjechał do domu, zaraz zrobił siusiu i kupkę na dywan, a tatuś wcale go nie zbił ani nie krzyczał, tylko od razu bardzo szybko po nim sprzątnął, zerkając na mamę. Potem mi pokazał jak taką plamkę wytrzeć i spryskać specjalnym płynem, żeby pachniała miodem, a nie kupką.

Wkrótce cały dom pachniał miodem i mama postanowiła, że w nocy pies będzie mieszkał w pralni, bo tam są kafelki, a w dzień – w ogrodzie. Nazwałam mojego psa Sun, czyli po angielsku słońce, bo był taki słoneczny i na główce zaczęły mu rosnąć takie jedwabne jasne włoski, jak promyki. Więc Sun budził się jak prawdziwe słońeczko, o świcie, i piszczał w

pralni, żebym do niego przyszła i dała mu śniadanie. Tyle że ja bardzo mocno śpię, a pralnia jest bliżej sypialni mamy niż mojej. Tatuś też śpi bardzo mocno.

Dzięki Sunowi zaprzyjaźniliśmy się z sąsiadami. Oni mają troje dzieci i najmłodszy. Karel, który też wstawał rano, rzucał Sunowi przez płot zabawki, a Sun bardzo lubił je gryźć, zwłaszcza Homera Simpsona. Kiedyś Diana, mama Karela, Indiry i Ivana, przyszła po te zabawki, bo Karel zamiast Simpsona rzucił Sunowi jakiś cenny samochodek z kolekcji swojego tatusia. No i rodzice się poznali, a ja się bardzo polubiłam z Karelem i Indirą. Ivan jest starszy ode mnie, ma jedenaście lat, ale nie jest taki przystojny jak Dżosz. Zamiast grać w koszykówkę jeździ na rowerze, więc oczywiście postanowiłam, że też muszę mieć rower. Oni są z Argentyny i bardzo głośno mówią, tak jakby się cały czas kłócili. Robią to w swoim języku, czyli po hiszpańsku, bo Argentyna jest w Ameryce Południowej i tam się mówi po hiszpańsku, i mamusia mówi, że to brzmi tak, jakby śpiewali.

Potem Sun zachorował. Wskoczyła mu na policzku taka wielka gula, prawie jak druga głowa. Wcale się tym nie przejmował, ale rodzice strasznie się zmartwili. Powiedziałam im, że przecież znam lekarza od psów – tego, co się nie zna na jaszczurkach i węzach – i pojechaliśmy do niego. On też się zmartwił. Zajrzał Sunowi do pyska. Sun strasznie się wrywał i pisał, a mamusia płakała. Lekarz powiedział, że Sun zjadł taką wstrętną trawę, co ma haczyki jak harpun na ryby i te haczyki wbiły się Sunowi w policzek i spowodowały zakażenie. Trzeba psu dać narkozę i operować, to znaczy przeciąć tę gulę.

Strasznie płakałam, kiedy wracaliśmy bez Suna do domu. Tatuś mnie pocieszał, że go nie będzie bolało, bo narkoza to taki sztuczny sen, ja jednak wiedziałam, że Sunowi będzie smutno, kiedy się obudzi w tym szpitalu zamiast w pralni i mnie tam nie będzie. W domu było pusto i cicho i tylko pachniało tym miodem, aż się wszystkim wciąż chciało płakać. Więc poszłam do siebie i zaczęłam rysować Suna, bo jak mi jest smutno, to zawsze rysuję i wtedy mi lepiej. To, co narysowałam, wcale nie przypominało Suna, tylko takie roztrzepane rude i złociste kreski i te zielone diamenciki. Tatuś i mamusia powiedzieli, że jest piękne. Oprawili w ramki i powiesili u mnie w pokoju. Tatuś zawsze mówi, że to, co się rysuje, nie musi być podobne do tego, co się widzi, tylko musi mówić prawdę. O tym, co się czuje. A ja tęskniłam do Suna i ten obraz można by nazwać „Tęsknota”. I nie trzeba rysować jak Disney, bo według wzoru to każdy potrafi, a tak jak ja rysuję – potrafię tylko ja i to jest prawda moja własna.

– Dziecko ma ekspresję – powiedział tatuś do mamusi.

Zawsze mam ekspresję, kiedy jestem czymś przejęta. Mogę wtedy rysować i malować bez końca. Aż kredki pękają i farba przyska. Kiedy mama potem sprząta mój pokój, to burczy, że ma dosyć tej ekspresji i artystów w rodzinie, ale ja wiem, że wcale tak nie myśli.

Potem Sun wrócił do domu z takim plastikowym abażurem na szyi, żeby się nie mógł drapać po pysku, boby sobie zerwał szwy, które go strasznie swędziały. No i nie mógł mieszkać w ogrodzie, żeby sobie nie zabrudzić rany, póki się nie zagoi, i żeby znów nie zjeść tej okropnej trawy. Chodził sobie po domu, zaczepiał tym kołnierzem o meble i bardzo śmiesznie wyglądał. Z tego, że miał mało ruchu i dużo jadł, i to z ręki, bo nie trafiał do miski, to co chwila robił siusiu albo kupkę. Wyglądało to tak, że szedł sobie Sun, raz pod stół, raz pod krzesło, raz do sypialni – i kuczał. Wtedy tata zrywał się, łapał serwetki, gąbkę i ten płyn, co pachniał miodem, i szybko sprzątał, zanim mamusia coś powie. Sun bardzo się interesował, co tatuś robi, trącał go swoim kołnierzem i lizał po ręce.

– Markiz de Abażur i jego lokaj – śmiała się mama, bo widać już było, że Sun wyzdrowieje.

Kiedy Sun zdrowiał, miałam dużo czasu, bo nie mogłam się z nim tak dużo bawić, więc na pocieszenie pisałam bajki. Wieczorem czytałam je Sunowi, który układał się na moim łóżku i bardzo uważnie słuchał. Najbardziej podobała mu się bajka o wiewiórce, co jadała orły.

Były takie czasy, kiedy zwierzęta umiały mówić. Na jednym za świerków żyła mała

wiewióreczka. Była ona straszną chwalipiętą. Zawsze mówiła innym wiewiórkom, że jada orły.

– A jak smakują orły? – zapytały wiewiórki.

– Smakują trochę jak papier i trochę jak atrament.

A tu nagle zza krzaka wyleciało stado orłów. Inne wiewiórki krzyknęły: „Zjedz je, zjedz!” Ale wiewiórka uciekła, ponieważ nie jadła prawdziwych orłów, tylko orły z książek.

Stąd wiem, że Sunowi ta bajka najbardziej się podobała, bo zaraz porwał mi i zjadł prawie całą „Księgę dżungli”. Pewnie chciał spróbować, jak smakuje pantera i miś, i tygrys Szir Kan. Ale nie ukarałam go, bo przecież był po operacji.

Potem wyzdrowiał i zaczął słuchać tylko mamusi, bo mu dawała jeść, i tatusia, bo dawał mu klapsy. A mnie nie słuchał wcale, chociaż tak się nim opiekowałam w czasie choroby. Zupełnie jakby diabeł w niego wstąpił. To niesprawiedliwe.

V

Wielka szkoda, że moja mamusia nie lubi muzyki, bo ja jestem bardzo muzykalna, a tatuś przecież całe życie śpiewał, no i grał na różnych instrumentach i puszczał kasety. Jedną arię to nawet umiem od lat. Aria to taka piosenka, którą grube panie albo grubi panowie śpiewają w teatrze. Kiedy tatuś miał dobry humor, to śpiewał na cały głos:

– Don Dziowaaaaaanniiiiiii! – I mama podskakiwała w kuchni i wołała, że umrze na serce. A ja na to najgłośniejsz jak umiałam:

– Don Dziowaaaaaanniiiiiii!!! – I tata się śmiał, a mamusia patrzyła na mnie z wyrzutem. Nie lubię, jak tak na mnie patrzy, ale lubię, jak tata się śmieje. Więc na coś się trzeba zdecydować.

To prawda, że kiedy tatuś włączał kasetę, w pokoju grał telewizor, a ja wymyślałam sobie muzyczne bajki na moim klawiszu, to trochę bywało głośno. Zwłaszcza że w Monachium mieszkaliśmy przy ruchliwej ulicy i przy otwartych oknach samochody robiły taki szum, że nie można było usłyszeć, co kto mówi.

–W Australii odetchniesz – krzyczał tata, żeby mamusia usłyszała go w kuchni. – Tam jest tak cicho i błogo!

Tak okropnie cicho to tu nie jest, bo o piątej rano na wielkim drzewie papugi strasznie się kłócą ze srokami, które im zajmują ulubione gałęzie. A po południu wieje wiatr od morza i wszystkie drzewa szumią głośniejsz niż samo morze. Ale samochodów nie słyszeć.

Za to słyszeć tatusia. Wziął się wreszcie za te rozbite skrzynki i zaczął z nich robić półki. Kupił elektryczną piłę i hebel i całymi dniami warczał w warsztacie. A warsztat jest w ogrodzie naprzeciwko kuchni, i mama znowu nie miała spokoju.

– Wyłącz przynajmniej tę muzykę! – wołała, ale bez skutku.

– Cooo? – Patrzył na nią z daleka, cały w trocinach.

– Muzyyykę!

Tatuś wyłączał piłę z niezadowoloną miną i tłumaczył, że muzyka jest po to, żeby zagłuszyć ryk narzędzi, a poza tym on lubi pracować przy muzyce. Wtedy mamusia mówiła o sercu, no i tata musiał wyłączać magnetofon. Mamusia się boi, że jak zachoruje na serce, to trzeba będzie sprzedać dom, żeby mogła się leczyć. Na co tatuś zawsze mówi, że i tak trzeba będzie sprzedać dom, jeśli mamusia będzie tyle wydawać na papierosy. Papierosy zresztą też nie są dobre na serce. W Australii na każdej paczce jest napisane, że palenie powoduje raka albo szkodzi na ciążę, albo wywołuje choroby serca. Mama mówi, że nie może przestać palić, bo się boi, że utyje, a jak się jest grubym, to można zachorować na serce.

Wreszcie tatuś skończył robić półki. Zajął całą ścianę w przedpokoju i można było ustawić książki. Tatuś tak je mądrze wymyślił, że nie zużył do nich ani jednej śrubki.

– Jak górale w Szczawie – mówił, bardzo z siebie dumny. Mamusia nie miała zbyt pewnej miny, kiedy ustawiała książki, ale półki się nie zawaliły. Runęły dopiero wieczorem, kiedy tata włączył sobie muzykę. Zrobił się straszny huk i po raz pierwszy tata na nikogo nie krzyczał za to, że coś się w domu stało. Mamusia zabrała książki do siebie do szafy, choć tata przykręcił półki śrubami do ściany. Ja myślę, że górale też tak robią, tylko tego nie widać. No i od tej pory tata muzyki słucha na wszelki wypadek tylko w samochodzie.

Nasza sąsiadka z Argentyny przyszła zobaczyć półki i bardzo jej się podobały. Powiedziała, że jej mąż nie umiałby takich zrobić. Mamusia zgodziła się, że t a k i c h na pewno nie. Sąsiadka zaprosiła nas do siebie na przyjęcie, bo przyjechali do niej muzycy z Ameryki Południowej. W Australii jest taki zwyczaj, że kiedy robi się przyjęcie i będzie hałas, to zaprasza się sąsiadów, żeby nie miał kto dzwonić na policję.

Mamusia pobladła, ale bardzo miło podziękowała za zaproszenie. Tatuś powiedział, że nie lubi tańczyć, ale ja mogę pójść, jeśli chcę. Tatuś potrafi być kochany! Po raz pierwszy szłam sama na przyjęcie tańczyć całą noc! No, może nie całą noc, bo mama kazała mi być o dziesiątej z powrotem, ale i tak był powód, żeby odpowiednio się ubrać. Wszystkie moje sukienki wydawały mi się za mało odpowiednie. Więc kiedy mamusia drzemała po obiedzie, zajrzałam do jej garderoby. Mamusia ma mnóstwo pięknych strojów, których nie nosi, bo albo są na nią za małe, albo za eleganckie do kuchni czy ogrodu. A w małej szufladce biurka trzyma cudną biżuterię, którą na pewno mi pożyczę na taki wspianiały wieczór.

Wybrałam sobie czarną koszulę z błyszczącego, gładkiego materiału, która pasowała do mojej brzoskwiniowej cery. Tatuś zawsze mówi na mnie „Brzoskwinka”, a słyszałam, jak mamusia mówiła, że tatuś zna się na kobietach. Koszula była trochę na mnie za duża, więc przewiązałam się w pasie naszyjnikami pereł. Wyglądało to pięknie, ale niestety naszyjnik pękł. Musiałam go zastąpić muślinowym szalem. Na szczęście to nie były prawdziwe perły. Do tego założyłam ulubiony wisiołek mamusi, z takim ślicznym fioletowym kamieniem w złotej oprawie, i zielone kolczyki, których mama nie nosi, bo jej drażnią uszy. Ja mam przekłute uszy w nagrodę za to że nie płaczę, kiedy chodzę do lekarza. Te zielone kolczyki wyglądały zupełnie jak oczy Suna, kiedy na mnie patrzy, no i pasowały do koloru moich oczu!

Strasznie dużo czasu zabiera szykowanie się na bal. Ponieważ mamusia ciągle drzemała, poszłam do taty spytać, czy ładnie wyglądam. Tatuś był zajęty wieszaniem się na swoich półkach, żeby sprawdzić, czy znowu nie runą, i nie patrząc na mnie powiedział, że wyglądam prześlicznie. Najbardziej chyba spodobałam się Sunowi, bo zaczął na mnie skakać, merdać ogonkiem i piszczeć, jakby był głodny. Niestety, nie mogłam mu podać kolacji, bo byłam już w wieczorowej kreacji!

Przyjęcie było wspianiałe. Przyszło mnóstwo ludzi. Wszyscy mówili po hiszpańsku i trochę po angielsku, więc świetnie się rozumieliśmy. Panowie ubrani byli w białe spodnie, kolorowe koszule i wszyscy mieli czarne włosy, wąsy i okulary. Byłam gwiazdą wieczoru. Wszyscy podziwiali moją kreację, Indira wyglądała na zazdrosną, a Ivan tak się na mnie zapatrzył, że aż zapomniał zamknąć buzię. Szkoda, że nie było Dżosza.

Wreszcie muzycy wyjęli instrumenty i zaczęli grać. To było cudowne! Grali na bębnach, gitarach i takich harmonijkach jak połączone fujarki, bardzo szybko, głośno i rytmicznie. Jak to dobrze, że rodzice zapisali mnie na lekcje tańca! Miałam dopiero dwie, ale już świetnie wiem o co chodzi. Tatuś przetłumaczył dla mnie wierszyk, który pomaga w nauce tańca. To brzmi tak:

Bioderko – w bok!

Usteczka — cmok!

Rączkami — plask!

To tańca blask!

Pasowało świetnie do tej muzyki z Ameryki Południowej. Tańczyłam tak szybko, aż koszula wirowała jak zwariowana, i wszyscy mi klaskali. Świeciły kolorowe lampiony, a nad nimi, na niebie, mnóstwo gwiazd.

Było tak wspianiałe, że nawet nie zauważyłam, kiedy minęła godzina dziesiąta i musiałam wracać do domu. Nie miałam nawet czasu poszukać kolczyka, który gdzieś przepadł w tym tańcu. Zupełnie jak w bajce o Kopciuszku. Może jakiś książę go znajdzie i mi odniesie? Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że u nas tę muzykę od sąsiadów jeszcze lepiej słyhać niż u nich. Ale nie było tak wesoło. Tata siedział z ponurą miną przed telewizorem włączonym na cały regulator i patrzył na jakiś mecz, pies wył w ogrodzie, a mama z wściekłą miną porządkowała szufladkę z biżuterią i swoją garderobę. Chyba mi zazdrościli i żalowali,

że nie poszli ze mną na bal!

Ale wcale się tym nie przejęłam i jeszcze przed snem napisałam bajkę pod tytułem „Tańczący kot”:

Pewnego razu żyła sobie prześliczna kotka, której wydawało się, że bardzo lubi tańczyć. Niestety, nie mogła sprawdzić, czy tak jest, czy jej się tylko wydaje, bo w domu, gdzie dorastała, nigdy się nie tańczyło. Jej pani i pan byli bardzo poważni i tylko czytali książki, chyba że się kłócili.

Kotce nie pozostało nic innego, jak poszukać w okolicy domu, gdzie się tańczy. Co wieczór wymykała się do innych sąsiadów, coraz dalej i dalej, aż wreszcie trafiła na wymarzone party! Tańczyła z różnymi kotami na czterech i na dwóch łapkach i była szczęśliwa jak nigdy! Kiedy tańce się skończyły, do jej szyi przywiązano woreczek z karteczką, na której były te oto słowa:

*Drodzy ludzie
Wasz kot tańczy
Przecudnie, więc
Obdarujemy go
Podarunkami, które mają mu
Przynieść uśmiech na pyszczku.*

Kiedy kotka wróciła do domu, właściciele byli z niej bardzo dumni i po przeczytaniu karteczki dali jej dwa razy tyle jedzenia, co zwykle. Ale kiedy chciała im pokazać, jak się tańczy i miauczała sobie do rytmu, to powiedzieli, że to zwykła kocia muzyka i zamknęli ją w łazience.

A u roztańczonych sąsiadów jednemu kotu oko nie mogło się zamknąć do snu, tak rozmyślał o talencie swojej nieznajomej partnerki. Więc poszedł jej śladem, otworzył małe okienko, za którym siedziała cała zapłakana, i powiedział: „Chodź ze mną. Będziemy tańczyć, ile dusza zapragnie!”

I tyle ich widzieli.

VI

Nie mogłam się doczekać mojej pierwszej gwiazdki w Australii, ale trochę się też martwiłam. No bo w Polsce dostawałam prezenty od rodziców, od babci Krysi, babci Ani, dziadka Janusza, prababci Lusi, pradziadka Stasia, cioci Jadzi, wujka Marka i jeszcze od innych wujków, którzy pracowali z tatusiem. A w Australii groziło mi, że dostanę prezenty tylko od rodziców. Na dodatek tatuś miał dla mnie dużo czasu i za każdym razem, kiedy robiłam coś nie tak, denerwował się i krzyczał, żebym zapomniała o prezentach pod choinkę, bo Święty Mikołaj nie będzie się fatygował do takiego niegrzecznego dziecka. A ja znowu zapomniałam nakarmić psa, sprzątnąć po nim kupy w ogrodzie, pościelić łóżko, pozbierać ubranie z całego domu i ułożyć w swojej szafie albo uporządkować zabawki. Przez te siedem gwiazdek, które już miałam w swoim życiu, i te wszystkie babcie, prababce i ciocie mam bardzo dużo zabawek i naprawdę jest mi strasznie trudno codziennie je porządkować. Maja oczywiście nie oddała mi jeszcze mojego ulubionego konika.

Martwiłam się, że tatuś powie tyle złych rzeczy Mikołajowi o mnie i że Mikołaj nie będzie chciał jechać taki kawał drogi. Zwłaszcza że na święta Bożego Narodzenia w Australii jest lato, czterdzieści stopni ciepła, wszyscy chodzą w kąpielówkach i wcale nie ma śniegu. Święty Mikołaj może się też bać, że mu się w brodzie zalęgna wszy, a jego renifery obleżą kleszcze. No, ale przecież w Australii są jeszcze inne dzieci i na pewno znajdzie się parę grzecznych, więc przy okazji mógłby też zajrzeć do mnie.

Najbardziej chciałabym dostać łąsiczkę. Byliśmy z Sunem na spacerze w takim parku, co jest zaraz za szkołą, i tam jeden chłopiec wyprowadzał swoją łąsiczkę na spacer. Była prześliczna, brązowomleczna, z mięciutkim futerkiem i dzwoneczkiem na szyi. Ten chłopiec pozwolił mi ją wziąć na ręce, a ona natychmiast wbiegła mi po ręce na szyję, potem przebiegła mi po głowie na drugą rękę i tak delikatnie mnie ugryzła, że tylko załaskotało. Była rozkoszna! Miała oczka jak czarne paciorki i różowutki nosek. Tata trzymał Suną przez cały czas na smyczy, żeby jej nie zrobił krzywdy, ale ten chłopiec powiedział, że ona się psów nie boi. Postawiłam ją na ziemi, a łąsiczka od razu pobiegła do Suna, żeby się z nim bawić. Sun tak się przestraszył, że wyrwał tatusiowi smycz i zaczął uciekać, aż mu uszy fruwały, mimo że już bardzo urósł i był o wiele większy od tej łąsiczki. Tak bym chciała mieć taką łąsiczkę! Ona się bardzo łatwo oswaja, je to samo, co koty, i załatwia się na gazetę, którą kładzie się w ubikacji. Nie tak jak Sun, który od czasu swojej choroby myśli, że mu wszędzie wolno i ja to muszę potem sprzątać.

Kiedy już tatuś złapał psa i wrócił zdyszany do nas, spojrzałam na niego błagalnie.

– Zapomnij o tym – wysapał tata. – Nawet swoim psem nie potrafisz się zająć.

Ja jestem okropnie roztrzępana i rzeczywiście kilka razy zapomniałam nakarmić Suna, ale mam tyle obowiązków, że naprawdę to nie moja wina. Przecież chodzę do szkoły, na tańce, na gimnastykę, na lepienie w glinie, na basen, bo w Australii trzeba umieć dobrze pływać, no i muszę codziennie obejrzeć chociaż jeden film w telewizji. Sama słyszałam, jak tatuś mówił, że w ten sposób najszybciej nauczę się angielskiego. I bardzo dużo czytam, żeby nie zapomnieć po polsku. Spisałam sobie na karteczce te wszystkie moje obowiązki, ale gdzieś mi zginęła. Więc napisałam jeszcze raz i przykleiłam na drzwiach mojego pokoju, żeby mi się przypominało codziennie rano, jak wstanę. Tylko że ja rano biegnę do mamy, żeby się przytulić, a potem już muszę iść do szkoły, więc znowu nie mam czasu pamiętać o tej karteczce. To okropne mieć obowiązki.

– Najtrudniej walczyć z własnymi genami – powiedziała kiedyś mamusia, kiedy tatuś krzyczał na mnie za bałagan w pokoju. Bo tatuś jest też bałaganiarz i zapomina o swoich

obowiązkach, na przykład wystawić kubel ze śmieciami co srode przed dom i potem nie ma gdzie wyrzucać śmieci, a kubel śmierdzi i z całej Australii zlatują się do nas muchy. Ale tatuś jest dorosły i jemu nie zależy na prezentach od Świętego Mikołaja.

Może dlatego mówi, że nie lubi świąt i uważa, że to są smutne święta. Wcale nie są smutne! Kupiliśmy z mamusią choinkę w doniczce, żeby po Nowym Roku zasadzić ją w ogrodzie i mieć już na zawsze. Przystroiliśmy ją przepięknie, jak co roku, bo wszystkie bombki i ozdoby choinkowe przyjechały owinięte w gazety i schowane w garnkach, żeby się nie potłukły. A potem, w Wigilię, tatuś zabrał nas na plażę. Ze zdenerwowania nie mogłam pływać. Cały czas patrzyłam w niebo, żeby zobaczyć pierwszą gwiazdkę. W Australii w biały dzień widać na niebie księżyc, więc byłam pewna, że gwiazda też się pojawi wcześniej. Ale nic nie zobaczyłam.

Wróciliśmy z plaży, poszłam się obmyć z piasku i soli, bo jeśli się tego zaraz nie zrobi, to okropnie szczybie. Kiedy już się ubrałam, przyszło mi do głowy, żeby posprzątać garderobę, na wypadek gdyby Mikołaja jeszcze nie było. Zobacz, jaka jestem grzeczna, i coś dla mnie w ostatniej chwili znajdzie.

A potem jeszcze, z tego czekania na Wigilię, napisała mi się bajka:

Był sobie raz mały wróbelek, który przeżywał swoją pierwszą zimę. Kiedy nadchodziły święta Bożego Narodzenia, śnieg pokrywał pola i lasy, strumyki były odziane lodem – biedny ptaszek nie miał nic do jedzenia ani picia. Schronił się pod krzakiem i pomyślał, że kiedy nocą nadejdzie mróz, to chyba nie doczeka poranka Bożego Narodzenia. Nagle zjawiała się przed nim dobra wróżka, która zapytała:

– Co robisz tutaj sam, mały ptaszku?

– Umieram z zimna i głodu – odpowiedział wróbelek – a tak bym chciał radośnie zaśpiewać jutro, kiedy Pan Jezus się narodzi.

– Siadaj na moim płaszczu – powiedziała wróżka – zaniosę cię bardzo daleko.

Wróbelek chwycił dzióbkiem płaszcz wróżki, usłyszał śliczną muzykę i zasnął.

Kiedy się obudził, zobaczył ogród z pięknymi kwiatami i krzakami, wszystko zalane słońcem. Na drzewach rosły owoce, a na pobliskiej łące wesoło bulgotał strumyczek. Na gałęzi dziwnego drzewa siedział piękny kolorowy ptak. Wróbelek przyglądał nastroszone piórka i zapytał:

– Przepraszam bardzo, czy były już święta Bożego Narodzenia?

– Dzisiaj jest właśnie Boże Narodzenie – usłyszał odpowiedź.

– To świetnie – ucieszył się wróbelek. – Powiedz mi, panie, kim jesteś i dlaczego tu jest tak ciepło?

– Nazywam się Rosella i jestem papugą – odpowiedział kolorowy ptak. – U nas w Australii nie ma śniegu i mrozu, a Boże Narodzenie wypada w lecie.

– Jak to wspaniale! – zawołał wróbelek i frunął w powietrze, aby zaćwierkać swoją kolędę. Okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam. A może nie byłam taka nieznośna, jak mówił tatuś? Kiedy weszłam do salonu, rodzice byli uśmiechnięci, a pod choinką leżały prezenty. Nie tak dużo jak w Polsce, ale były! Święty Mikołaj przywiózł mi wideokasetę „Król Lew” od babci Krysi, i książkę z bajkami od prababci Lusi i pradiadka Stasia, i prześliczny krzyżyk od babci Ani i dziadka Janusza. Tę wideokasetę już miałam, ale po angielsku, a ta była po polsku, żebym nie zapomniała języka. Te bajki też już miałam, ale z innymi ilustracjami, a ja lubię patrzeć, jak każdy pan, co robi ilustracje, inaczej sobie wyobraża te same bajki. Ja sobie je wyobrażam jeszcze inaczej.

Od tatusia dostałam rower, więc będę mogła jeździć na długie wycieczki do buszu z Ivanem. Dżosza chyba szczyści! Ale najpiękniejszy prezent dostałam od mamusi. Taką malutką książeczkę, oprawioną w kremową skórę, z liliowymi tasiemkami w środku. Napisane na niej było „Pamiętka Pierwszej Komunii Świętej”. To była książeczka do nabożeństwa dla dzieci i moja mama ją dostała, kiedy była taka mała jak ja. To było strasznie

dawno. Mamusia powiedziała, że to jest dla niej bardzo cenna pamiątka i żebym dobrze jej pilnowała. Otworzyłam natychmiast na pierwszej stronie, a tam było napisane:

Kochana Córeczko, Aniołek uprosił mnie, bym tę książeczkę dała Tobie. Oby sprawił, że Twoje serduszko zawsze pozostało czyste i wrażliwe. Kochaj go tak, jak ja kocham Ciebie, a pozostaniesz w Krainie Dobroci.

Tatuś czytał mi przez ramię, jakoś dziwnie chrząkał i pociągał nosem. Potem oboje mnie uściskali, ucałowali i usiedliśmy do wieczerzy.

Jak zwykle, była to najpiękniejsza Wigilia w moim życiu!

VII

Zawsze jakoś tak się dzieje, że kiedy wszystko jest przyjemne i wesołe, to zaraz musi się stać coś, co to popsuje. Na przykład jedziemy z tatusiem do kina, puszcza mi muzykę w samochodzie, ja śpiewam tatusia piosenki i tatuś mnie chwali, kupuje mi lody albo zestaw z niespodzianką u McDonalda, a potem wracamy do domu i okazuje się, że nie posprzątałam swojego pokoju. Mama jest zła na tatusia, że zabrał mnie do kina i kupił mi ten zestaw, kiedy na to nie zasłużyłam i w dodatku nie mam apetytu na kolację, więc tatuś jest zły na mnie za to, że mama jest zła na niego i krzyczy, żebym zapomniała o przyjemnościach, dopóki nie nauczę się pamiętać o obowiązkach. A ja nie mam na kogo być złą, chyba że na lalki albo na Suna. Ale lalki wcale się nie przejmują moją złością, muszę sobie wyobrażać, że płaczą i przepraszają, a Sun nie wie o co mi chodzi i tylko merda tym swoim ogryzkiem ogona jak wariat. Wcale się mnie nie boi i nie traktuje mnie poważnie.

Zaraz po tej cudownej Wigilii mogłam się spodziewać wszystkiego najgorszego. Ale się nie spodziewałam i oczywiście rodzice okropnie się pokłócili.

Zaczął się od rachunku za telefon. Z Australii jest strasznie daleko do całego świata, no i do Polski też, a przecież z okazji świąt Bożego Narodzenia trzeba pozdrowić rodzinę i wszystkich przyjaciół. Normalnie wysyła się kartki świąteczne, ale my nie jesteśmy zdaje się normalną rodziną, a poza tym byliśmy zajęci urządzaniem naszego domku. Mamusia nawet kupiła mnóstwo ślicznych kartek z kangurami poprzebieranymi za Świętych Mikołajów, z palmami przystrojonymi jak choinki i ze strusiami emu niosącymi prezenty dla dzieci, ale żadnej nie wysłała. Myślała, że tatuś wypisze te życzenia, w końcu to on jest u nas od pisania, a tatuś myślał, że robi to mamusia. Musieliśmy więc do wszystkich dzwonić. Rozmawialiśmy przez telefon z babcią Krysią i babcią Anią, z dziadkiem Januszem, prababcią Lusią i pradziadkiem Stasiem, z moją Titą, która się mną opiekowała, kiedy byłam mała, a teraz ma własną córeczkę, i z mnóstwem wujków – przyjaciół i kolegów tatusia, których ja nie pamiętam, ale którzy pamiętali o mnie i koniecznie chcieli się dowiedzieć, jak mi się żyje w Australii. Bardzo lubię rozmawiać przez telefon, więc każdemu wszystko dokładnie opowiadałam, potem swoimi słowami opowiadał tatuś, a potem mamusia. Strasznie było wesoło! Więc kiedy rodzice zniknęli gdzieś w ogrodzie, zadzwoniłam jeszcze do Magdy w Szczawie, i do Marchewki w Warszawie, i do Aleksandra w Monachium, i wszystkim złożyłam życzenia, i opowiedziałam, jak to jest w Australii. Ale się zdziwili!

Tatuś też się zdziwił, kiedy zobaczył rachunek za telefon, a mama się przeraziła. Mamusia się wszystkiego boi, a najbardziej tego, że zabraknie nam pieniędzy. No i zdaje się, że właśnie nam zabrakło.

Kiedy rodzice krzyczą, to nie jest przyjemne, ale jeszcze nie oznacza nic strasznego. Kiedy kłócą się naprawdę, to mama milczy i robi mnóstwo rzeczy naraz, a tata siedzi na krześle i wodzi za nią wzrokiem jak Sun, kiedy nie do końca wie, za co dostał w skórę. Tak jest przez cały dzień albo dwa. Potem tata zamyka się w swoim pokoju i nie pokazuje się przez jakiś czas, a mamusia robi jeszcze więcej rzeczy naraz. Wreszcie tata wychodzi ze swojego pokoju i zaczynają po cichu rozmawiać, ale tak, żebym nie słyszała. Ale ja się skradam jak kot, tuż przy podłodze, za drzwiami, i czasem udaje mi się usłyszeć, o czym mówią. No i wtedy, po tym rachunku, usłyszałam, że mama już nie ma siły wszystkim się zajmować, że tata wydaje pieniądze na lewo i prawo, a jak nie wydaje, to siedzi przed telewizorem albo leży z książką w łóżku i nic go nie obchodzi, że ona wie, że to nie jego wina, bo tak go rozpieścili dziadkowie, ale tak dłużej nie może być, bo ona musi jeszcze pożyć kilka lat ze względu na

mnie. A na to tatuś odpowiadał takim bardzo cichym głosem, zupełnie nie jak tatuś, że to wszystko prawda, ale przecież on się stara, wychodzi z psem na spacer, zrobił półki na książki i stolik pod telewizor i że bardzo nas, to znaczy mamę i mnie, kocha.

– Żebyś ty słyszał siebie, jak się do nas odzywasz! – mówiła mama. – Ile w tym złości! Popatrz na Danka! Pracuje cały dzień, a jak wraca do domu, to ma czas i dla dzieci, i dla Ewy. Pomaga jej zmywać, sprząta... Jemu można wierzyć, że kocha.

Tata na to odpowiedział, że przecież mama wie, że on ma swoje problemy, ale chętnie będzie zmywał, jeśli jej na tym zależy, i sprzątać też może, tylko trzeba mu o tym przypominać. On jest artystą i czasem ma głowę w chmurach. Ja chyba też jestem artystką. No a wujek Danek na pewno! Ciocia Ewa mówiła, że pisze dla niej takie cudowne wiersze i listy (ale nie chciała pokazać). A w jego australijskim młynie dwie maszyny nazywają się po polsku: Jaś i Małgosia. Sama widziałam.

Mamusia spojrzała na tatę tak, jak tata patrzy na mnie, kiedy powiem coś wyjątkowo głupiego, i spytała, czy on nie widzi, kiedy dom jest zagnojony, pościel lub okna brudne, a popielniczki pełne. Ona już tego nie może znieść i musi się wyprowadzić.

Kiedy rodzice już się zdecydowali, że się rozejdą, to każde z nich jest dla mnie bardzo miłe. Mogę wejść bez pukania do pokoju taty, a on mnie przytuli zamiast krzyczeć, nawet jak jest mecz w telewizji, i nawet poczyta ze mną moje ulubione książki. Mamusia przychodzi do mnie wieczorem na „torturki”. Łaskocze mnie i szczypie, aż płaczę ze śmiechu i udawania, że się okropnie tych torturek boję. Powinnam być zadowolona z tego, że się kłócą, bo nagle wszystko mi wolno. Ale jednak trochę się boję. Boję się, że jak się rozejdą, to zapomną o mnie; w końcu ten okropny rachunek telefoniczny to też moja wina. Z Magdą rozmawiałam chyba z pół godziny. A jak o mnie zapomną, to będę sama i każą mi mieszkać w sierocińcu, ciężko pracować i jeść obrzydliwe bryje, jak temu chłopcu w filmie „Oliver Twist”. Sprzedadzą mnie do zakładu pogrzebowego i ubiorą na czarno, żebym chodziła przed trumną, a potem porwą mnie złodzieje i nauczą kraść, aż schwyta mnie policja i odda pod sąd i pójdę do więzienia. Wszystko przez tę rozmowę z Magdą! Oliver Twist miał szczęście, bo w tym sądzie spotkał miłego starszego pana, który zabrał go do swojego pięknego domu, ubrał, nakarmił i pokochał, aż się okazało, że tak naprawdę, to jest jego bogaty dziadek. Ale ja nie mam bogatego dziadka, więc co ze mną będzie?

Strasznie się przejęłam tymi myślami i nie mogłam spać. Przypomniałam sobie, jak tatuś kiedyś mówił, że na smutki pomaga twórczość, to znaczy malowanie, pisanie albo muzyka. Nie chciałam grać po nocy, żeby nie obudzić rodziców, a poza tym jeszcze nie bardzo umiem. Zaczęłam rysować, ale wychodziły mi same smutne rzeczy – czarne kruki na trumnach albo porzucone koty. Więc postanowiłam napisać bajkę, bo bajki zawsze dobrze się kończą. Ale napisało mi się coś takiego:

Dawno, dawno temu żył sobie Król, który nie znosił morza. Mówił, że morze jest zimne i słone. Królowa lubiła morze, ale on nie pozwalał jej się kąpać. Wreszcie wpadł na pomysł. Zawołał służbę i powiedział:

– Wziąć mi mnóstwo cukru w kostkach i ułożyć w jedną wielką tacę, taką wielką jak morze, i przykryć nią te wstrętne słone fale!

–Zrzuńiesz nas i królestwo! – wołała Królowa, ale on jej nie słuchał, tylko kazał wykonać rozkaz.

A potem przyszło lato i Król chciał się wykapać, ale zobaczył, że morze jest nieruchome, bo pokryte twardym, lepkiem cukrem. I mijały lata, a Król nie mógł się kąpać i w końcu umarł z gorąca i pragnienia.

Położyłam tę bajkę na stole w kuchni, żeby rodzice mogli ją przeczytać jak się obudzą, i poszłam spać.

Tatuś chyba ma rację, że twórczość pomaga na smutki. Bo kiedy wstałam rano, oboje rodzice uściskali mnie i pogratulowali mi bajki, a potem zaczęli na mnie krzyczeć.

- Umyj zęby! Za piętnaście minut szkoła!
 - Gdzie twój tornister? Dlaczego jeszcze nie gotowy?
 - Przestań się bawić z psem! Jedz śniadanie! Ile razy mam ci powtarzać?! Boże, co za dziecko!
- Najwyraźniej się pogodzili!

VIII

Jacusiu, ja się boję – powiedziała mama.

– Nie ma czego! Woda jest spokojna, zejdziemy najwyżej na osiemnaście metrów, sprzęt sprawdzę osobiście, a poza tym cały czas będę przy Jacku – powiedział wujek Mirek, który na każde słowo „za” ma dziesięć „przeciw” albo na odwrót.

Wszyscy bardzo lubimy wujka Mirka. Mieszka w Australii od piętnastu lat, ma już dorosłego syna, który ma na imię Bolesław. Nie chce, żeby na niego mówić Bolek, więc mówi się na niego „Kursant”, bo ciągle chodzi na jakieś kursy. Ale teraz komponuje, bo miał kontuzję kolana i już nie może jeździć wyczynowo na rowerze. A kiedyś, jak spadł z deskorolki, to musiał mieć przeszczep.

Wujek Mirek nie musi już chodzić na żadne kursy, bo wszystko umie i wszystko wie. Umie skakać na spadochronie i pływać żaglówką, bić się na szpady (miał nawet kiedyś jechać na olimpiadę) i jeździć szybko samochodem, umie naprawiać skomplikowane zabawki i wygrywać z silniejszymi od siebie na rękę, no i wie, co trzeba wiedzieć, żeby umieć żyć w Australii. Umie też o tym wszystkim opowiadać, czesze się na tyso, jest strasznie wesoły i ma okulary. No i przede wszystkim umie robić piękne zdjęcia i nurkować i właśnie namawiał tatusia, żeby z nim zanurkował w oceanie.

– Ale Jacek nigdy nie nurkował, nie ma kondycji, pali, jeszcze mu się coś stanie!

Tatusi spojrzał na mamusię z wyrzutem. Bardzo nie lubi, kiedy mu się mówi, że czegoś nie umie, zwłaszcza przy wujku Mirku.

– Nic mu nie będzie. Pojemność płuc ma wystarczającą...

Mama spojrzała na brzuch tatusia, a tatuś natychmiast się wyprostował.

– ...a nie będziemy tak głęboko, żeby w razie czego nie móc się natychmiast wynurzyć. No i może upolujemy coś pod wodą na kolację – roześmiał się wujek Mirek, aż mu było widać wszystkie zęby.

– A rekiny? – spytała mama gasnącym głosem.

– Na tych wodach rekiny pojawiają się rzadko – tłumaczył wujek. – A poza tym mają słaby wzrok i jeśli ich nie zaczepisz, krzywdy ci nie zrobią. Te wszystkie opowieści o rekinach – ludojadach – to bajki. No, chyba że jakiś wariat szuka mocnych wrażeń i zachowuje się pod wodą gwałtownie, a akurat trafi na nerwowego rekina. Wtedy to co innego...

Od razu zobaczyłam tatusia w stroju pletwonurka, jak wymachuje pod wodą rękami i krzyczy, aż mu bąbelki lecą z ust. Tatuś potrafi być gwałtowny, na przykład kiedy za nic nie umiem sama zrobić zadania z matematyki, choć jego zdaniem jest dziecinnie proste. Zobaczyłam też rekina w okularach, któremu wcale się nie podoba zachowanie tatusia, i wujek Mirek musi bronić tatusia szpadą. Nie chciałam, żeby rekin zjadł tatę pod wodą, ale pożałowałam trochę, że sama nie jestem rekinem.

Tata patrzył na mamę takim wzrokiem jak Maja, gdy prosi wujka Danka, żeby jej wreszcie kupił konika. To było bardzo śmieszne, bo Maja ma pięć lat, a tatuś prawie czterdzieści. Ale mamusia uśmiechnęła się i powiedziała:

– No dobrze, tylko uważaj, Mimsiu, na mojego chłopca.

Następnego dnia wujek Mirek zabrał tatę wcześniej rano, kiedy jeszcze było ciemno i wszyscy spali. Tylko Sun usłyszał jak odjeżdżają i zaczął tak strasznie skomleć, że aż mnie obudził. Sun już podrośł i uważa, że powinien brać udział we wszystkim, co się dzieje w rodzinie. Tym razem nie mógł przecież jechać nurkować, bo jest dosyć gwałtowny i na pewno zdenerwowałby rekina. Ale obiecałam mu, że jak wstanie dzień, to pójdziemy na plażę

popływać.

Potem obudziła się mama i zasiadłyśmy do śniadania. Mama raczej nie je śniadań, tylko pali papierosy i pije kawę, ale tym razem, jakby przez nieuwagę, zrobiła sobie chyba ze cztery kanapki i jajecznicę z trzech jaj. Jadłyśmy w milczeniu. To dziwne, jaki cichy wydaje się dom bez mężczyzny. Sun też jadł w milczeniu, chociaż od czasu do czasu popłakiwał cicho. Robił to naprawdę cichutko, ciszej niż mlaskał, ale mama krzyknęła na niego, żeby się uspokoił. Po śniadaniu kazała mi zająć się własnymi sprawami, bo miała dużo do zrobienia. Zmywanie, pranie, odkurzanie, zmianę pościeli, wreszcie przestawianie mebli. Mama zawsze, jak nie wie co ze sobą począć, to przestawia meble. Ja to bardzo lubię, bo to prawie tak, jakbyśmy się przeprowadzały do innego domu, ale nawet w tym nowym domu, inaczej umeblowanym i z przewieszonymi obrazami dziadka Janusza i babci Ani nadal nie było tatusia. Przypomniało mi się, jak wtedy, kiedy tata jeździł jeszcze na koncerty, mama mówiła:

– Nawet dobrze, że wyjeżdżasz. Będę miała trochę spokoju, żeby pozatławić zaległe sprawy.

Ale teraz tych zaległych spraw starczyło nam tylko do południa i mama nie sprawiała wrażenia spokojnej. Zaproponowałam więc, żebyśmy pojechały z Sunem na plażę, bo na pewno jest mu smutno, że nie nurkuje razem z tatą. I mama się zgodziła!

Zgodziła się od razu! Byłam zdumiona, bo mama boi się samochodów i nie miała jeszcze prawa jazdy, chociaż tatuś i wujek Mirek mówili, że to nic trudnego. To prawda, nawet ja wiem, jak się kieruje samochodem. Przekręca się kluczyk, naciska nogą na pedał i już! Zawiozłabym mamę i Suna na plażę sama, ale jeszcze mam za krótkie nogi, żeby dosięgnąć pedału. Więc wzięłam psa na smycz i grzecznie usiadłam z tyłu, żeby nie przeszkadzać mamie w prowadzeniu. Sun też zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego i siedział cicho, chociaż zwykle skacze po całym aucie jak wariat, z radości, że jedzie na plażę.

Mama przekręciła kluczyk i coś strasznie zazgrzytało. Przestraszyła się i puściła kierownicę, ale nic się nie stało, tylko auto zamilkło. Mama odetchnęła głęboko trzy razy i znowu przekręciła kluczyk, tym razem bardzo ostrożnie i brrrum – silnik zaczął mruścić, trochę niecierpliwie, ale jakby przyjaźnie. Mama uważnie obejrzała wszystkie przyciski i drążki wokół kierownicy, wreszcie wybrała jeden i przesunęła. Rozległo się cykanie i na tablicy zaczęła migać zielona strzałeczka.

– Kierunkowskaz – powiedziała do siebie mamusia z zadowoleniem.

Pociągnęła w dół taką dużą dźwignię, poruszyła kolanami, coś nami szarpnęło, aż Sun się przestraszył, i nagle zobaczyłam, że nasz dom się od nas oddala. Jechałyśmy!

Mamusia prowadziła bardzo powoli, żeby nie zrobić wypadku, bo w razie wypadku policja zabiera prawo jazdy, a ponieważ ona nie miała prawa jazdy, to mogliby na przykład zabrać samochód i tata strasznie by się gniewał. Na nieszczęście bardzo dużo ludzi jeździ z psami na plażę, kiedy jest ładna pogoda, więc po chwili ciągnął się za nami cały wąż samochodów. Jedne trąbiły, a inne migały światłami.

– Cicho, dziadu – mówiła mamusia przez zęby – nie widzisz, że kretynka za kierownicą!

Kilka samochodów nas wyminęło i każdy kierowca patrzył na mamę dziwnym wzrokiem, ale nie krzyczał ani nie pukał się palcem w czoło, bo Australijczycy są bardzo uprzejmi. Uważają, że każdy ma prawo czegoś nie umieć. Ale mamusia nie widziała tych dziwnych spojrzeń, bo cały czas patrzyła przed siebie, żeby na coś nie wpaść. Tylko Sun warczał w środku, jak zawsze, kiedy nie wie, o co chodzi.

Z naszego domku do plaży nie jest daleko, więc nic dziwnego, że w końcu dojechałyśmy. Mamusia była taka szczęśliwa, że zamiast zahamować – dodała gazu i wpadłyśmy na słupek wyznaczający koniec parkingu. Rozległ się trask i samochód zatrzymał się sam.

Sun też był szczęśliwy, że już jesteśmy na plaży i nie mógł zrozumieć, dlaczego nie idziemy pobiegać. A myśmy przecież musiały wstawić ten słupek na miejsce, co nie było łatwe, bo się złamał. Niedaleko byli ludzie, którzy przyglądali się dwóm słabym kobietom

wkopującym ten kawałek słupka w ziemię, i psu, co się im wrywa w kierunku oceanu. Potem jeszcze oglądałyśmy zderzak, który był bardzo brzydko wgnieciony, a na dodatek jedno światełko całkiem popękało. Mamusia próbowała jakoś naprostować zderzak i wtedy wszystko od samochodu odpadło. Chciałam jej pomóc i smycz wymknęła mi się z ręki, a Sun zrozumiał, że teraz wolno mu już pobiegać. Więc pobiegł.

Zanim złapałyśmy Suna i wróciłyśmy do domu, było już ciemno. Taty jeszcze nie było. Dobrze się składało, bo mamusia mogła zaparzyć sobie kawy i wypalić kilka papierosów, żeby się uspokoić. Właśnie kończyła jej się pierwsza paczka, kiedy usłyszałyśmy przed domem głosy. Drzwi się otworzyły i wszedł tata, cały mokry, brudny, uśmiechnięty, a za nim, z wielkim workiem, wujek Mirek.

– Było cudownie! – wołał nasz ojciec, a wujek Mirek się uśmiechał. – Tylko raz poszła mi krew z nosa, byliśmy na dwudziestu metrach głębokości, to jest inny świat! Ewuniu, żebyś ty to widziała! Człowiek zyskuje nową perspektywę na życie! Nic mi nie groziło! Umieć nurkować! Mirek oczywiście troszkę mi pomagał...

– Rozwaliłam samochód. – Szybko, jakby mimochodem, wtrąciła mama.

– Ojej, ale widzę, że nic ci się nie stało! – wesoło ciągnął tatuś. – Jutro mi opowiesz. A teraz zobacz, co złowiłem! Pod wodą! Z kuszy!

I wujek Mirek wyrzucił z worka wielką rybę, a właściwie potwora, który wyglądał jak jakiś podwodny nietoperz.

– Płaszczka! – wołał tatuś z dumą. – Piętnaście kilo! Walczyła chyba z pół godziny! No, ja swoje zrobiłem, teraz ty przyrządź nam ją, kochanie! Podobno płetwy są przepyszne...

– Mój myśliwy, prawdziwy bohater! – powiedziała mama. Wieczorem przyszła mi do głowy bajka o obrazku – samochwale:

Pewnego razu pani domu dostała obraz. Powiesiła go w salonie. Ślicznie to wyglądało, ale to nie był zwykły obraz. Namalowano go zaczarowanymi farbami i okazał się samochwałą. Chwalił się, że jest najpiękniejszy wśród wszystkich obrazów i mebli, więc inne obrazy i meble obraziły się na niego i nie rozmawiały z nim, bo umiał mówić tylko o sobie. Przychodzili do pani goście i chcieli kupić ten obraz za ciężkie pieniądze. „On tu nie pasuje – mówili. – Proszę nam go sprzedać”. Ale pani nie chciała. Obraz wisiał więc samotnie, nikt z nim nie chciał się bawić, najwyżej meble śmiały się z niego, że taki brzydki, bo smutny. Aż obraz popękał ze smutku i zrobił się cały tak czarny, że nie było widać, co na nim jest. I pani domu przewiesiła go z salonu do gabinetu. Nikt już go nie chciał kupić, ale dla niej dopiero teraz był piękny.

IX

W lutym w Australii jest strasznie gorąco, bo jest lato, a mimo to dostałam w szkole nagrodę za czytanie. Wszystkie dzieci pocily się, stękały i narzekały, że im duszno, a ja przeczytałam im całą bajkę o dobrym olbrzymie, który opiekował się małą sierotką. Znałam tę bajkę po niemiecku i po polsku, tak że nawet jeśli nie rozumiałam jakiegoś słowa po angielsku, to i tak wiedziałam, o co chodzi.

W australijskiej szkole, jak się zostaje wyróżnionym, to nazwisko wydrukowane jest w szkolnej gazecie i odbywa się uroczyste wręczenie dyplomu podczas piątkowego zebrania wszystkich dzieci, nauczycieli i rodziców. Takie zebranie organizuje co piątek inna klasa. Najpierw śpiewamy australijski hymn o tym, że Australia jest piękna, zdrowa i zielona i musimy o nią dbać, potem jest występ, przygotowany przez dzieci z tej dyżurnej klasy, a potem dyrektor wręcza nagrody i wszyscy nagrodzeni dostają wielkie brawa.

Tego dnia, kiedy ja miałam dostać nagrodę, przyszło mnóstwo rodziców, moi oczywiście też, a klasa czwarta pokazywała tańce indonezyjskie. Wszystkie dzieci ubrane były w takie długie kolorowe chusty zwane sarongami i miały naszyjniki z muszli i kwiatów.

W naszej szkole jest dużo dzieci z całego świata, a na świecie są różne tańce i różne zwyczaje, nie wszyscy wierzą w Jezusa, tylko mają innych bogów. Mieliśmy już występy japońskie, hinduskie i aborygeńskie. Aborygeni mieszkali w całej Australii, zanim przyplłynęli tu Europejczycy i przegonili ich na pustynię. Też mają swoje tańce, malują obrazki złożone z samych kropek, tak że trzeba patrzeć z daleka, żeby widzieć, o co chodzi, a te kropki – to są mapy ich wędrowek. Kiedy tańczą, malują sobie twarze kolorową gliną i popiołem z ogniska. To jest bardzo tajemnicze.

Indonezyjskie tańce były bardzo piękne, ale strasznie długo trwały i nie mogłam się doczekać, kiedy dostanę nagrodę. Zwłaszcza że dwa rzędy dalej siedział Daniel Cosby, który jest najprzystojniejszym chłopcem w naszej klasie. Podoba się wszystkim dziewczynkom. Nie mówimy mu o tym, rzecz jasna, ale to i tak nie ma znaczenia, bo on na nas nie zwraca uwagi. No ale teraz chyba na mnie zwróci, jak będę dostawała nagrodę. On jest najlepszy w biegach i w krykieta i podoba mi się bardziej niż Dżosz i Ivan.

Wreszcie dyrektor powiedział do mikrofonu „Patriszia Volny!” Wstałam i podeszłam do niego spokojnym krokiem, żeby tata miał czas zrobić zdjęcie, no i żeby wszyscy mnie widzieli. Dyrektor pochwalił mnie za postępy w czytaniu, podał mi rękę i dyplom. Podziękowałam i wróciłam na miejsce. Spojrzałam na Daniela, ale on na mnie nie patrzył. Szeptał coś do ucha koledze, który jest straszonym łobuzem, i obaj chichotali. Może i jest przystojny, ale bardzo źle wychowany!

Ale największa nagroda czekała na mnie w domu, kiedy wróciłam ze szkoły. Tata i mama kupili mi tort, uściskali mnie z dumą i powiedzieli, że dobra praca zawsze przynosi radosne niespodzianki. I za to, że dostałam tę nagrodę, przyjedzie do nas z Polski babcia Krysia!

– Tylko masz być grzeczna i dalej dobrze się uczyć – powiedział tata, niby na wpeł surowym głosem – bo babcia pojedzie sobie z powrotem.

Wiedziałam, że to nieprawda, bo babcia jest kochana, bardzo mnie kocha i na pewno do mnie tęskni i nie może beze mnie spać. Bo w Szczawie zawsze spałyśmy razem, więc teraz też na pewno będzie chciała spać w moim pokoju.

– Jak ci nie wstyd – obruszył się tata. – Dorosła panna, ogląda się za chłopakami, a chce spać w jednym łóżku z babcią!

Tyle że tata nie wie, jak przyjemnie wtulić się w nocy w babcie, która jest duża i miękka i sapie przez sen, no bo ma słabe serce. A poza tym teraz na pewno dostanę też kotka! Mamy

wprawdzie Suna, ale on jest psem, a wszyscy wiedzą, że babcia to prawdziwa kocia mama!

Kilka dni później pojechaliśmy na lotnisko i czekaliśmy przed takimi rozsuwanymi drzwiami, którymi wychodzili różni ludzie z wózkami pełnymi bagaży, aż wreszcie pojawiła się babcia. Była bardzo zmęczona, bo tak jak my leciała z Warszawy przez Londyn i nawet nie miała czasu zobaczyć pałacu Królowej, no i nie mogła w samolocie spać, bo mnie przy niej nie było. W samochodzie mama i ja mówiłyśmy do babci obie naraz, tylko tata nic nie mówił. Za to jechał przez miasto tak, żeby były najpiękniejsze widoki. Ale babcia nie patrzyła na widoki, tylko mówiła, jak się cieszy, że już jest z nami. I oprócz tego – powiedziała – że ma słabe serce i trudno jej chodzić, to jeszcze teraz ma cukrzycę.

W domu babcia zaraz poszła spać, a ja spytałam mamę, co to jest cukrzyca. No i dowiedziałam się, że to jest taka choroba, na którą trzeba codziennie brać lekarstwo, żeby nie było za dużo cukru we krwi, i trzeba przestrzegać diety, to znaczy nie wolno jeść słodkich rzeczy. Strasznie się z mamą zmartwiłyśmy, bo babcia przepada za słodkimi rzeczami, a w Australii są pyszne lody i ciastka, których kupiliśmy dla niej pełną lodówkę. I jak babcia to zobaczy, a nie będzie mogła spróbować, to jej się pewnie Australia nie spodoba.

Kiedy babcia się obudziła, rodzice byli na zakupach. Wstała, wyjęła z torebki małe pudełeczko i igłę do zastrzyków. Ukłuła się nią w palec i kropelkę krwi wsunęła na specjalnym papierku do tego pudełeczka. Pudełeczko pisnęło i w okienku ukazały się jakieś cyferki.

– Widzisz, Paciu – powiedziała babcia – to pokazuje poziom cukru we krwi. Muszę go badać trzy razy dziennie.

Strasznie mi było babci żal, bo jak zobaczyła te cyferki, to westchnęła. Potem poszła do kuchni, otworzyła lodówkę i przyjrzała się temu, co było w środku.

– Ojej – powiedziała już weselszym głosem – jakie pyszne rzeczy! Nałożyła sobie i mnie duże porcje tortu lodowego i tak sobie jadłyśmy rozmawiając o życiu, kiedy Sun zaskomlał – i weszli rodzice z zakupami.

– Co mamusia robi!?! – przestraszyła się mama. – Przecież mamusi nie wolno! Ja tu całe zakupy zrobiłam, żeby mamusia mogła przestrzegać diety!

– Eeee – powiedziała babcia, chociaż minę miała taką jak Sun, kiedy ściągnie mamie prześcieradło z suszaka i nie wie, jak zostanie ukarany. – Badałam sobie krew i miałam całkiem niezły wynik.

– Tak – powiedziałam z zadowoleniem, że mogę wtrącić się na temat. – Sama widziałam! Babcia się ukłuła i wyskoczyło osiem kropka siedem!

– Matko Boska! – jęknęła mama i postawiła torby na podłodze, a babcia szybko zjadła jeszcze jedną łyżkę tortu i odsunęła talerzyk, jakby nie była ze mnie zadowolona.

– No, to teraz prezenty – powiedziała, żeby zmienić temat. I chyba jej się to udało... Tatuś dostał książkę i od razu zamknął się w swoim pokoju, ja dostałam kasetę o dinozaurach, o której marzyłam od dawna, a mamusi babcia przywiozła lniany obrus i serwetki. Potem otworzyła drzwi do ogrodu i oczywiście Sun skoczył na nią radośnie, żeby się przywitać. Ubrudził jej łapami sukienkę i wylizal po twarzy.

– Śliczny piesek – powiedziała babcia. – A kotka nie macie? Tej nocy spałam znowu z babcią i było jak dawniej: babcia ciągle była duża i miękka i sapała przez sen. A rano nie musiałam wyjątkowo iść do szkoły, więc napisałam bajkę:

Żył sobie Król i żyła sobie Królowa. Mieli smoka, który się nazywał Paweł. Paweł był bardzo łakomy, ale nigdy nie jadł mięsa ani liści – jadł pióra. Jak tylko zobaczył jakiegoś ptaka, to od razu go łapał i zjadał mu wszystkie pióra. Czy żółte, czy czerwone, czy zielone – chrupał je ze smakiem. Król był z Pawła zadowolony, aż zauważył, że w jego królestwie brakuje ptaków. Poszedł powiedzieć to swojej żonie Królowej. Królowa się zastanowiła przez pięć minut, a potem podniosła głowę i powiedziała:

– Mój drogi, trzeba naszego smoka usunąć z królestwa albo coś z nim zrobić.

– Najlepiej posłać go do zoo – zaproponował Król.

Wysłali Pawła do zoo, do wielkiej klatki, na której było napisane: „Pierwszy smok w naszym zoo. Jego imię: Paweł”. Minęło parę lat. Paweł był już stary i miał dość siedzenia w klatce, więc wyskoczył z niej, pobiegł do klatki z ptakami i pozjadał wszystkim pióra. Ale nie był w stanie zjeść piór kazuara, najpotężniejszego ptaka na kuli ziemskiej, ani strusia emu. Więc gdy skończył śniadanie, napił się wody i chcąc nie chcąc, przeszedł na dietę z liści, dzięki czemu żył jeszcze bardzo długo i w dobrym zdrowiu.

X

Babcia zawsze miała koty, więc teraz, kiedy przyjechała do nas z tą cukrzycą i słabym sercem, trzeba jej było kotka kupić. Mama trochę się broniła, mówiła, że nie chce więcej zwierząt w domu, bo w końcu i tak opieka spada na nią. Ale przecież mieliśmy tylko Suna, który był już za duży, żeby udawać kota. Nie dawał się brać na kolana czy do łóżka ani nie mruczał, kiedy się go głaskało, tylko skakał na wszystkich z jakiejś szalonej radości, aż mu uszy fruwały na boki, albo kopał pod krzakami róż w ogrodzie i wnosił ziemię do domu. A kotki są czyste, ciche i spokojne i załatwiają się do kuwety z piaskiem, a nie po całym ogrodzie, gdzie popadnie.

Więc kiedy babcia przy śniadaniu po raz któryś z rzędu powiedziała, że chciałaby zobaczyć, jak tu w Australii wyglądają cmentarze, bo nie wiadomo gdzie przyjdzie jej spocząć, mama oświadczyła, że jedziemy po kota.

Tatusz zabrał nas samochodem bardzo daleko, na drugi koniec miasta, w takie miejsce, gdzie gromadzi się bezdomne kotki. Takie zgubione i takie, których nie chcą już właściciele, bo podrosły, przestały być rozkosznymi kociećkami, a zaczęły być problemem.

Bo ludzie nie myślą – tłumaczył tatuś – kupując dzieciom malutkie futrzane stworzonka, a potem z tych stworzonek robią się dorosłe, niezależne zwierzęta, które się dzieciom nudzą, i nie wystarczy się z nimi bawić, trzeba się nimi opiekować i kochać, a miłość to jest też odpowiedzialność. Na co mamusia powiedziała, że powinna nagrać te słowa na magnetofon i tata umilkł, więc nie bardzo wiem, o co chodziło.

Te bezdomne koty zbiera się w przytułku, bo inaczej dziczeją i robią się groźne. W Australii nie ma drapieżników, oprócz psów dingo w głębi lądu, i taki zdziczały kot nie ma naturalnych wrogów. Poluje na ptaki, wyjada pisklęta z gniazd, a przede wszystkim zabija małe gryzonie i torbacze. A australijskie gryzonie i torbacze są jedyne na świecie i nie umieją się bronić. Niektóre wyglądają jak myszy, inne jak kangurki albo małpki i żyją sobie spokojnie nocnym życiem, dopóki nie trafi na nie taki zdziczały kot. On potrafi być niebezpieczny nawet dla koali, które prawie cały czas śpią, no i dla domowych kotów też. Ciocia Basta, ta od dużego wujka Dawida, przywiozła sobie swojego kota z Europy. Ile razy wychodził na spacer, tyle razy wracał cały poszarpany przez te dzikie koty. Trzeba mu było zszywać brzuszki i zakładać taki abażur na głowę jak Sunowi, gdy miał operację. Kiedy jej kot zdrowiał i wychodził na spacer, to znowu wracał poszarpany, aż wreszcie od tego zszywania umarł.

Widziałam z tatusiem program o kotach, które ktoś zostawił na bezludnej wyspie i zapomniał o nich. W kilka lat wyjadły wszystkie ptaki i gryzonie, a jak już nie miały co jeść, to nauczyły się nurkować i łowić ryby. Tata powiedział, że oprócz kotów tylko człowiek potrafi się tak przystosować do warunków, w jakich żyje. No tak, przecież tata nurkował z wujkiem Mirkiem i złowił wielką płaszczkę.

To schronisko dla kotów to były wielkie baraki, do których szło się po kolorowych liniach namalowanych na chodniku. Po pomarańczowej – do małych kotków, po zielonej – do trochę starszych, po niebieskiej – do dorosłych kotów, a po czerwonej do kocic, które już nie mogły mieć dzieci. Babcia nie pojechała z nami, bo źle się czuła, więc musieliśmy wybrać sami. Och, ile tam było uroczych kici! Białe i łaciate, czarne i rude, jedne wdrapywały się cały czas na siatkę i miauczały, żeby je kupić, inne kuliły się w pudełkach, jakby im było zimno, i patrzyły na nas porcelanowymi ślepkami, bo chyba nie rozumiały, że nie chcemy im zrobić krzywdy i nie porzucimy ich jak dorosną. W baraku dla starszych kotów niektóre przechadzały się tam i z powrotem, jakby chciały się pokazać z jak najlepszej strony, ale

większość leżała na półkach bez ruchu, spoglądając na nas nieufnie. Mama miała łzy w oczach i powiedziała, że one pamiętają, jak zostały skrzywdzone przez człowieka, i już nie wierzą, że ktoś będzie dla nich dobry.

– Weźmy je wszystkie! – zawołałam. – Ja będę dla nich dobra, i babcia też, i tatuś!

– Nie możemy, Paciu – powiedziała mama. – To za dużo kosztuje, a poza tym Sun byłby nieszczęśliwy. Duży kot nie oswoi się z psem. A co dopiero kilka dużych kotów.

W schronisku było ich kilkaset. Chciałam mieć wszystkie i być dla nich dobra, ale zrozumiałam, że to niemożliwe. Płakałyśmy z mamą obie, kiedy stamtąd wychodziłyśmy, a tata był ponury i milczący. Nie wybrałyśmy żadnego, bo mama powiedziała, że nie zdobędzie się na decyzję. Bo małego wesołego kotka zawsze ktoś weźmie, a żadnego z tych smutnych dużych nie możemy wziąć ze względu na Suna.

W drodze powrotnej mama nagle powiedziała:

– Jacusiu, skreć tutaj. Zobaczmy co tam jest! Tatuś posłusznie skrecił i zatrzymał się przed wielkim garażem, gdzie stały wspaniałe wiklinowe bujane fotele. Zawsze o takim fotelu marzyłam i rozumiałam, że może teraz wreszcie go dostanę, bo mama, kiedy jest smutna, zapomina, że boi się braku pieniędzy i kupuje nam różne rzeczy. No a poza tym nie kupiliśmy kota, więc trochę pieniędzy mieliśmy.

W tym garażu było mnóstwo stołów, łóżek, krzeseł i szaf i bardzo miły pan, który przekonywał mamę, jakie to wszystko jest tanie. Mama kiwała głową (jeszcze nie bardzo mówi po angielsku, więc zawsze kiwa głową, kiedy rozmawia z Australijczykami), pokazywała palcem to biurko, to na toaletkę i pytała „hał macz?” – to znaczy „ile?”, a pan wymieniał sumę. Tatuś tłumaczył, a mama wtedy dla odmiany kręciła głową przecząco. Pan był bardzo cierpliwy, ale potem powiedział tatusiowi, że mama jest strasznie trudnym klientem.

Kiedy wróciliśmy do domu, mieliśmy zamiast kotka dwa biurka, dwie toaletki, z których mama kazała tatusiowi odkręcić lustra, bo były brzydkie, no i wiklinowy fotel na biegunach dla mnie. Babcia była trochę rozczarowana i zdziwiona, bo przecież nie potrzebowaliśmy mebli tylko kota. Ale mama wyjaśniła, że te biurka i toaletki wypadły bardzo tanio, a kiedyś i tak trzeba będzie powiększyć nasz dom albo zamienić na inny, bo ja podrosnę i zrobi się za ciasno. Najbardziej zadowolony był Suń, bo na wiklinowym fotelu mógł się nie tylko bujać, ale i go ogryzać.

Drugi raz pojechaliśmy po kotka dla babci tydzień później, ale już nie do schroniska – mamusia powiedziała, że dla niej to zbyt wielkie przeżycie – tylko do sklepu ze zwierzętami. W Australii na każdym osiedlu jest sklep ze zwierzętami i wszystkim, co one mogą potrzebować. Są tam kotki i pieski, i łasice, akwaria z rybkami i klatki z papugami i kanarkami. Bardzo lubię te sklepy, chociaż zawsze mi smutno, kiedy nic nie kupujemy, a ja za każdym razem zakochuję się w innym zwierzęciu.

Tym razem zachwyciłam się szczeniakiem akity. Był taki złociutki i jedwabny, a dookoła oczu miał czarne kółeczka i czubek pyszczka też miał czarny. Zrozumiałam, że muszę go mieć, zaczęłam prosić i błagać, ale tata zrobił groźną minę i powiedział, że jesteśmy tu po to, żeby kupić babci kota i o drugim psie nie ma mowy. Zresztą dorosłe akity są bardzo duże i Sun byłby nieszczęśliwy, gdyby dostał takiego wielkiego braciszka.

Zdecydowałam, że skoro nie mogę mieć drugiego psa, to już lepiej mieć razem z babcią kota i przeszłam do klatki z kociętami. Ale one były jakieś senne i jak powiedziała mama – bez wyrazu, pewnie przerasowane, a babcia lubi takie zwykłe, jak w Krakowie na dachu. Był taki jeden, cały w szaro – rude pręgi, ale kiedy już się na niego zdecydowałyśmy, to pani ze sklepu podała go innej pani z pięciorgiem dzieci, które zaczęły piszczeć i cmokać, drapać go za uszami i podskakiwać. I ta pani go kupiła.

Było nam strasznie smutno, kiedy wychodziliśmy ze sklepu. Babcia znów nie będzie miała kota! Nagle mama zatrzymała się.

–Jacusiu, popatrz! – powiedziała takim rozczulonym tonem, jakim mówi, kiedy narysuję coś wyjątkowo pięknego, albo kiedy zakwitnie na przykład nowy kwiat w ogrodzie.

W szklanej klatce, która stała z boku, coś siedziało i patrzyło na nas. To znaczy nie do końca na nas, bo miało okropnego zeza i oklapnięte uszy. Ale miało zupełnie takie czarno – rude pręgi jak kot dachowiec oraz srebrny kołnierzyk i srebrne skarpetki.

Babcia już się nie zdziwiła, kiedy przynieśliśmy do domu... psa. W dodatku psa pokracznego. Mama powiedziała, że to on nas sobie wybrał i że jest tak wstrząsająco brzydki, że aż piękny! Nazwaliśmy go Rolmops. Sun obwąchiwał Rolmopsa, a ten natychmiast przewrócił się na plecy i posiusiał ze strachu. Sun oczywiście nie zrobił mu krzywdy, bo jest w gruncie rzeczy poczciwy. Rolmops bardziej przypominał kota niż biurko czy bujany fotel, więc babcia wzięła go do łóżka. Okazało się, że można go głaskać i przytulać, a on za to lizał babcie po twarzy, ssał jej guziki od pizamy... i siusiał.

Potem poszliśmy z Rolmopsem do pana doktora na zastrzyk, a pan doktor powiedział, że to jest krzyżówka boksera z blue heelerem (to są australijskie psy farmerskie do zaganiania owiec i pilnowania obejścia) i że jak dorośnie, to będzie bardzo duży i agresywny. Mama zrobiła się całkiem biała, a babcia zadzwoniła do wujka Mirka, pojechała z nim na miasto i sama sobie kupiła kota. Takiego zwykłego, szarego w paski, który nie za bardzo urośnie. Chociaż w Australii z kotami nic nie wiadomo.

Po kilku dniach miałam gotową następną bajkę:

Pewnego razu na dzień urodzin Królowej Król kupił słodkiego pręgowanego kota. Królowa nazwała go Mruczek. Ten kot nie był wcale grzeczny. Co chwila wywracał koziołki, drapał kanapy i wyjadał ryby w kuchni. Ale Królowa bardzo kochała swojego kota, więc pewnego razu wybrała się do sklepu zoologicznego, żeby kupić dla niego jakąś zabawkę. Zobaczyła małego pieska i pomyślała, że ten piesek będzie w sam raz dla Mruczka.

Mruczek od razu zaczął się bawić z pieskiem, a tu nagle piesek przemówił do niego:

– Oj, nie drap mnie tak, a spełnię jedno twoje życzenie.

Kotek przestał drapać i zażyczył sobie, że chce go drapać dalej. Piesek musiał spełnić to życzenie. Ale po paru dniach znów odezwał się do Mruczka:

– Oj, nie gryź mnie tak, a spełnię jedno twoje życzenie.

I oczywiście niegrzeczny Mruczek zażyczył sobie dalej go gryźć.

Potem Królowa strasznie zachorowała. Kot dowiedział się o tym i poprosił pieska, żeby mu napisał list do lekarza.

– A nie będziesz mnie gryzł i drapał? – zapytał piesek.

Mruczek obiecał, że nie, i piesek napisał mu list do lekarza. Lekarz przyjechał natychmiast i wkrótce Królowa była zdrowa. A Mruczek i jego pies żyją w przyjaźni, bo razem uratowali jej życie.

XI

Tata i mama mówili nieraz, że w Australii będzie się żyło spokojnie, bo tu się nikt nie śpieszy, że będziemy mieli na wszystko czas i wreszcie uda się nam być tylko dla siebie. A tymczasem nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek byli tacy zajęci jak właśnie w Australii. Wokół domu i w ogrodzie cały czas jest coś do zrobienia. Trzeba grabić, kopać, przesadzać, przycinać, naprawiać, no i przede wszystkim sprzątać. Prawie co dzień musimy jechać do miasta, gdzie tata biega po urzędach, a my z mamą chodzimy po sklepach, bo ciągle w domu czegoś brakuje. No i nie można zapominać o psach, które chciałyby się wybiegać, bo jak się nie wybiegają, to roznoszą cały ogród i wykopują to, co mama posadzi, albo robią wszędzie coraz większe kupy, które ja muszę sprzątać. A przecież chodzę do szkoły i na pływaniu, piszę bajki i maluję, nie mówiąc już o czytaniu książek i oglądaniu wideo, bo w ten sposób można najszybciej nauczyć się języka. Mimo to tata uznał, że mam za mało obowiązków, że australijska szkoła to zabawa (sama to mówiłam zaraz pierwszego dnia), że roznosi mnie energia, więc trzeba mi znaleźć jeszcze więcej zajęć.

Z tą energią to było tak, że postanowiłam zbudować sobie altanę w ogrodzie, żeby mieć swoje tajemne miejsce, gdzie mogłabym przyjmować tylko moich gości. Na przykład Daniela Cosby'ego, gdyby przyszedł mnie przeprosić za swoje zachowanie podczas rozdania nagród. Poszłam do szopy, wzięłam trochę desek, cegieł, śrubek, młotek i piłę i już miałam zabrać się do budowy, kiedy przyszła Indira (córka tych sąsiadów z Argentyny, co lubią tańczyć) i spytała, czy chcę razem z nią prowadzić sklep z lemoniadą. Pomyślałam, że rodzice się ucieszą, jeśli zarobię parę dolarów, bo przecież cały czas martwią się o pieniądze, więc się zgodziłam. Wzięłyśmy obrus, szklanki, dzbanek, łyżeczki, wodę, cytryny i cukier i wyszłyśmy na ulicę robić i sprzedawać lemoniadę. Było bardzo gorąco i na ulicy nie było żywej duszy przez parę godzin, więc w końcu same wypiliśmy tę lemoniadę, a potem mama Indiry zawołała ją na obiad, a ja sobie przypomniałam, że muszę posprzątać psie kupy, bo tata będzie krzyczał.

No i nakrzyczał na mnie i tak, że przed domem leży wybrudzony obrus i srebrne łyżeczki z kompletu mamy, a w ogrodzie – rozbebeszone narzędzia, cegły na wybrukowanie podjazdu i deski, które sobie przygotował, żeby zrobić stół na werandę. Już pół roku odgraża się, że robi ten stół, nie mówiąc o domku dla moich lalek. Jak powiedziałam – nie mamy na nic czasu!

– Dziecko roznosi energia – oświadczył tata. – Jeśli ma być przygotowane do życia, musi mieć więcej obowiązków.

Chciało mi się płakać, ale przy ojcu zawsze powstrzymuję łzy i jak się okazało, tym razem dobrze zrobiłam, że się nie rozbeczałam. Te obowiązki, które wymyślili dla mnie rodzice, to były same przyjemności!

Zaczęłam chodzić na balet nowoczesny, na kometkę i modelowanie w glinie, na gimnastykę i konną jazdę, a przede wszystkim – do szkoły dla modelek!

Co do tej szkoły dla modelek, którą wymyśliła mama, tatuś miał wątpliwości.

– Przecież wiesz – mówił – jakie to nieciekawe środowisko. Dziecku wypaczy się charakter, i tak wszystko robi na pokaz. Wyjałowi się duchowo i zdemoralizuje.

Tatuś wie, co mówi, bo sam spędził dwadzieścia lat na scenie. Ale mama powiedziała, że przecież nie muszę być od razu modelką albo aktorką, że ta szkoła uczy pewności siebie, której bardzo mi brakuje, ładnego poruszania się, śmiałości wobec rówieśników, a jeśli przy okazji wystąpię na przykład w telewizyjnej reklamie i dostanę jakieś honorarium, to mnie jeszcze nie zdemoralizuje.

Oczywiście postanowiłam, że zostanę najwspanialszą modelką w Australii, drugą Cindy Crawford albo Claudią Schiffer.

Będę chodzić w pięknych sukniach i kostiumach plażowych, a w gazetach pojawią się moje zdjęcia z Danielem Cosbym, który też umie robić czarodziejskie sztuczki jak Dawid Copperfield. Zarobię mnóstwo pieniędzy i kupię rodzicom drugi dom, gdzie będzie mnóstwo psów, kotów i widok na ocean, bo tata mówi, że bez widoku na ocean trudno mu się skupić na pisaniu. A potem Daniel Cosby mi się znudzi i wyjadę w podróż dookoła świata z Dżozsem, jeśli oczywiście zostanie sławnym koszykarzem. A jeśli nie, to przecież zawsze zostaje mi Ivan, który jeszcze nie wie, kim będzie, ale to brat Indiry i świetnie się z nim tańczy argentyńskie tango.

No więc poszliśmy zapisać mnie na te kursy, chociaż tata ciągle się krzywił. Przestał się krzywić, kiedy weszliśmy do biura, gdzie siedziały piękne dziewczyny, z takich, jakie tatusiowi się podobają, jak z amerykańskich filmów dla dorosłych.

– No – powiedziała mama – już ty córki sam tu nie będziesz przywoził. – Ale nie mówiła tego poważnie, bo sama nie miała prawa jazdy.

Zapisałi mnie do grupy dla początkujących.

Michelle, moja nauczycielka, która sama była modelką, uczyła nas chodzić po „kociej ścieżce”, czyli, jak powiedział tatuś, „po wybiegu dla skór”, jak przybierać atrakcyjne pozy i poruszać się w rytm muzyki. Kazała nam wymyślić sobie chłopców, na których kiwamy palcem, a kiedy taki podejdziesz – pokazujemy mu z uśmiechem, że nie, nie, nie tak szybko, mój miły! Udawałyśmy, że gramy na gitarach, że uchylamy kapelusza na dzień dobry albo na do widzenia, a wszystko to trzeba było robić w specjalnie elegancki sposób, niby naprawdę, a niby na niby. Tatuś, mama albo babcia przychodzili na zmianę przyglądać się jak pracuję i ciągle byli niezadowoleni. W każdym razie tata po każdej lekcji podchodził do Michelle i długo o czymś z nią rozmawiał. A po dziesięciu lekcjach okazało się, że wystąpimy na gali modelek w największym hotelu w mieście, będzie rozdanie nagród i musimy mieć specjalne stroje na tę okazję.

– Ona nic jeszcze nie umie, tylko się skompromituje! – denerwował się ojciec.

– Musi być jaskrawa podkoszulka, takie same skarpetki, dzinsowa spódniczka i jakiś wisiołek – mówiłam po raz setny.

– Ja chyba nie pójde, źle się czuję – stękała babcia.

– Skarpety za kolana – przypomniał ojciec.

– Musi mamusia pójść – wołała mama. – Skąd ja jej wezmę skarpety za kolana?

– Nie chcę za kolana, bo mnie swędzą. Michelle powiedziała, że normalne też mogą być.

– Tam będzie klimatyzacja, mamó, mama się nie zmęczy.

– Jak się ma uczulenie, to się nie szkoli na modelkę. Modelka ma nosić, co jej każą – pouczał tata.

– Skąd na to wszystko wziąć pieniądze? – łapała się mama za głowę, po czym szła do sklepu po jaskrawą pomarańczową podkoszulkę, koniecznie z golfem.

Nazajutrz mówiłam jej, że ma być jednak czerwona, bo pomarańczową ma już jedna koleżanka. I z dekoltem, bo nie będzie widać wisiora. Więc mama wracała do sklepu, wymieniała podkoszulki, a potem okazywało się, że nie można dostać skarpetek w takim samym kolorze...

Ojciec siedział w salonie ponury, patrzył, jak przymierzam stroje i ćwiczę pozy i palił papierosy jeden za drugim.

– Skarpety za kolana albo zapomnij o modelkowaniu – powtarzał jak najęty.

Wreszcie nadszedł dzień występu. Rodzice i babcia odwieźli mnie do centrum miasta, sami odświętnie ubrani i bardzo poważni. Tata po raz pierwszy w Australii założył garnitur, w którym kiedyś brał ślub, a mama z babcią specjalnie poszły do fryzjera. Byłam okropnie przejęta. W galowej sali hotelu okazało się, że to jest wielka uroczystość, w której bierze

udział chyba z tysiąc dziewcząt w różnym wieku. Wszystkie były wystrojone i zdenerwowane i krążyły między rodzicami, jeszcze bardziej wystrojonymi i zdenerwowanymi. Hałas i bałagan był taki, że zapomniałam się bać. Kiedy nasza grupa miała próbę, zapaliły się reflektory i zrobiło się tak gorąco, że nie wiedziałam, gdzie jestem, i poruszałam się właściwie na pamięć, trochę tylko patrząc na koleżanki, żeby sobie przypomnieć, jaki jest następny układ. Im też było gorąco i widziałam, że patrzą na mnie i wcale nie mają zbyt pewnych siebie min. Po próbie miałyśmy jeszcze dużo czasu do występu. W tym tłoku nie można było znaleźć rodziców, więc siedziałyśmy w garderobie i rozmawiałyśmy, ale o czym – nie pamiętam, bo zajęta byłam patrzeniem, jak się malują, stroją i denerwują starsze dziewczęta. To było pasjonujące. Czułam się mała, opuszczona i brzydka, a jednocześnie wiedziałam, że na sali jest tata, mama i babcia, i że muszę im pokazać, co potrafię. Muszę być najlepsza, dostać wszystkie nagrody, propozycje z filmu i telewizji i zarobić dla nich mnóstwo pieniędzy, żeby tatuś nie mówił, że się za mało staram.

No i potem wreszcie był występ, z którego niewiele pamiętam, tylko tyle że Emma, z którą miałyśmy wspólne wyjście, wszystko pomieszała, a dwie dziewczynki, które miały wziąć w finale z moich rąk lizaki, zapomniały o tym i zostałam z tymi lizakami na środku, a widownia śmiała się i klaskała. A po występie już tylko płakałam, bo nie dostałam żadnej nagrody, a Emma dostała, co było już zupełnie niesprawiedliwe. Nawet portier w tym hotelu, wysoki i smagły, taki jacy podobają się mamie, pocieszał mnie, że byłam najlepsza.

Tatuś zajechał po nas samochodem i kiedy już wsiadłyśmy z mamą i babcią, powiedział, że jest strasznie ze mnie dumny i żebym nie przejmowała się nagrodami, bo wszystko, co się robi, robi się po to, by robić to dobrze. Dla własnej satysfakcji, a nie dla nagrody. Mamusia dodała, że mnie podziwia, że byłam sto razy lepsza niż na próbach i że ona nigdy by się nie odważyła wyjść na scenę i prawdę mówiąc myślała, że i ja w ostatniej chwili stchórzę. I pojechaliśmy do chińskiej restauracji, gdzie tata zamówił kolację na moją cześć, ale byłam tak zmęczona, że nawet nie pamiętam, co jadłam. Tylko w takim pierożku, który się przelamuje na pół, żeby poznać przyszłość, była wróżba: „Pracuj, sukces jest blisko!”

W nocy przyśniła mi się bajka, którą zapisałam sobie z samego rana, chociaż sama nie wiem, o czym ona jest. Wiem tylko tyle, że podczas następnej gali zdobędę wszystkie możliwe nagrody! A oto bajka:

Był sobie raz lizak, miał niebieski gamiturek i słodki uśmiech. Pewnego dnia wybrał się na spacer i spotkał śliczną długą postać. Miała ona po obu stronach numerki i śmieszne guziczki.

– Przepraszam bardzo, kim pan jest? – spytał lizak.

– Jak pan śmie nazywać mnie panem! Jestem dziewczyną!

– Och, przepraszam, nie wiedziałem – odparł lizak. – A jak pani na imię?

– Linijka – odparła linijka. – Jestem bardzo użyteczna do zeszytów, kartek i wielu innych rzeczy.

– A ja jestem Lizak – przedstawił się młodzieniec – i jestem ulubieńcem dzieci, które zawsze wołają w sklepie: „Mamo, mamo, kup mi lizaka!”

Linijka nie słuchała jego słów. Za bardzo była zajęta patrzeniem na niego, czy byłby dla niej dobrym mężem, czy nie. Aż w końcu zdecydowała, że chce go na męża i zapytała:

– Jaką chciałbyś żonę?

– Chciałbym śliczną różową Lizaczkę w różowej sukience.

– To wszystko? – dopytywała się Linijka.

– Tak, wszystko – powiedział Lizak i Linijka tak się obraziła, że wzięła flamaster i pomalowała Lizaka na czarno.

Ale Lizak poszedł pod prysznic, wymył się do czysta i doczekał się swojej Lizaczki w różowej sukieneczce.

XII

Nasz dom jest niedaleko oceanu i na początku chodziliśmy codziennie na plażę. Ale latem z tym chodzeniem na plażę jest mnóstwo kłopotów. Ponieważ słońce świeci bardzo mocno, trzeba się za każdym razem starannie smarować kremem, no i oczywiście piasek się do tego kremu lepi i kiedy się wraca do domu, to wszystko jest zapiaszczone, zanim się dojdzie pod prysznic, żeby zmyć ten piasek i sól z morskiej wody. Trzeba nosić cały czas czapkę, żeby nie dostać porażenia mózgu, a w takiej czapce strasznie trudno pływać i nurkować, bo potem tatuś musi jej szukać i wypływać bardzo daleko w morze i mamusia zaczyna się o niego bać, bo wprawdzie tatuś nurkował z wujkiem Mirkiem, ale pływać za dobrze nie umie. Poza tym latem, chociaż jest gorąco, na plaży wieją bardzo silne wiatry i sypią piaskiem w oczy. Wszyscy bardzo się dziwili, że mama siedzi nad morzem cała owinięta naszymi ręcznikami i ubraniami, jak Sun po kąpiel. Widać jej było jedynie nos i oczy, bo patrzyła, żebyśmy z tatusiem za daleko nie wypłynęli.

Ale na plażę chodzi się nie tylko po to, żeby się opalać lub kąpać. Także po to, żeby psy się wybiegały i nie robiły szkód w ogrodzie. Niedaleko nas jest specjalna plaża dla zwierząt, gdzie wyprowadza się psy i konie, a raz nawet widziałam panią z kotem na smyczy, ale on tego nie lubił. Ani oceanu, ani tych wszystkich psów, które na niego szczekały, a on na nie prychał. Kiedy jest pogoda, to ta plaża wygląda jak jakaś promenada, Isartor w Monachium albo Aleje Ujazdowskie w Warszawie, tyle że tam nie ma koni i oceanu. Tu ludzie się przechadzają brzegiem morza, psy biegają we wszystkie strony, aportują patyki albo piłki tenisowe, zakochują się w sobie, a właściciele odciągają je od siebie, konie kąpią się albo biegają wzdłuż wydm, sierść im błyszczy w słońcu i wcale nie boją się psów ani dzieci. Można podejść i je pogłaskać, a czasem nawet się na nich przejechać. Jeden koń był tak zaprzyjaźniony z małym kundelkiem, że pozwalał mu na sobie jeździć, jeśli postawiło mu się tego kundelka na grzbiecie. Ten kundelek chyba nie przepadał za tym, chociaż to był bardzo śmieszny widok.

Ale tam też nie lubiałam chodzić. To jest plaża specjalnie wyznaczona dla zwierząt, żeby się tam załatwiały w czasie zabawy i nie brudziły innych plaż, dla ludzi. Przy wejściu na plażę są kubły na śmieci i wiszą takie żółte torebki, żeby właściciele mogli zebrać to, co zrobią ich zwierzęta, i wyrzucić do kubła. Ale prawie nikt tego nie robi. Więc na tej plaży śmierdzi i jest pełno much i jak się na nią idzie, to można wdepnąć w coś miękkiego, a to nie jest przyjemne. Więc tata chodził tam raczej sam, najpierw z Sunem, a potem z Sunem i Rolmopsem, i zawsze wracał zachwycony zachodem słońca. Bo nasze wybrzeże wychodzi na zachód, za oceanem jest Afryka i co wieczór można patrzeć, jak ogromne czerwone słońce chowa się za horyzontem i wtedy w Afryce zaczyna się dzień. Tata tak się zachwycał tymi zachodami, że raz z nim poszłam, ale nie miałam czasu się przyglądać, jak słońce wędruje do Afryki, bo psy pogoniły na wydmy za jedną małą pudliczką i przepadły. Tata kucał, klękał, wstawał i nachylał się na wszystkie strony, żeby zrobić jak najlepsze zdjęcia temu zachodowi i wysłać babci Ani (ona jest malarką, kiedyś malowała piękne zachody słońca na Mazurach), więc to ja musiałam biec i szukać psów. A one wcale nie chcą mnie słuchać, bo jeść daje im mama, tata albo babcia, klapsy daje im tata, a ja się z nimi tylko bawię. Więc jak zobaczyły, że to ja je gonię, to uciekły jeszcze dalej, na szosę, i myślałam, że mi serce stanie z rozpaczy. Sun usiadł na środku jezdni i rozglądał się, gdzie jestem, a Rolmops, który jest młodszy, lecz mądrzejszy, zatrzymał się na krawężniku i czekał na Suna. Sun ma takie chwile, kiedy nie myśli (podobnie jak ja – mówi tata), więc nie wiedział, o co chodzi Rolmopsowi. Na szczęście kierowcy samochodów jadących szosą pewnie lubili psy i stanęli, żeby nie

przejechać Suna. Zrobił się straszny korek, ja zaczęłam płakać, Rolmops skakał na mnie i lizał mnie po rękach, żebym coś zrobiła, i wtedy nadbiegł tatuś, cały spocony i czerwony, z aparatem w ręku. Kiedy Sun zobaczył tatę, to natychmiast skulił się ze strachu, bo podobnie jak ja zawsze wie, kiedy tata nie jest w humorze. Tata złapał go pod pachę i zaniósł z powrotem na plażę, mówiąc takie brzydkie słowa, których mi nie wolno powtarzać.

–Nie można ci powierzyć najdrobniejszej rzeczy! – krzyknął, kiedy byliśmy już na plaży, a Sun z tych nerwów zaczął robić kupę. – Chciałaś mieć psy, to się naucz odpowiedzialności za nie!

Rozpłakałam się i powiedziałam, że to nie moja wina, tylko tej pudliczki, w której Sun się zakochał, a Rolmops pobiegł za nim, bo jest jeszcze mały. A poza tym chciałam mieć nie psy tylko psa. Suna, a Rolmops został kupiony babci zamiast kota. Ale kiedy tata jest zły, to nie słucha, co się do niego mówi, więc oczywiście powiedział, żebym zapomniała o kinie czy też o MacDonalddie, nie pamiętam. W każdym razie wolałam już nie chodzić na podziwianie zachodów słońca.

Jednak kiedy nadeszła jesień i zrobiło się chłodno już w maju, a na niebie zaczęły się gromadzić ogromne chmury o różnych kształtach, to te zachody naprawdę stały się interesujące. Zresztą tata znalazł taką dziką plażę, gdzie prawie nigdy nikogo nie było, więc mógł się spodziewać, że nasze łobuzy nie spotkają tam ani tej pudliczki, ani żadnej innej. Nie trzeba było smarować się kremem, a piasek zrobił się wilgotny i nie wciskał się gdzie popadnie – i znowu zaczęłam chodzić nad ocean z psami i z tatą.

Ta dzika plaża raz była wielka, dzika i pusta, a raz wcale jej nie było. Wzburzone fale całkiem ją przykrywały. Pokłębione chmury gromadziły się nad horyzontem, a zachodzące słońce tak je podświetlało, że wyglądały czasem jak płonące miasto, czasem jak szczyty gór, a czasem jak sklepienie w starym kościele, gdzie spod obłoków wychodzą takie proste świetliste linie i wtedy wiadomo, że w tych obłokach czuwa Bóg. Tatuś już nie robił zdjęć, chociaż te zachody były moim zdaniem o wiele ciekawsze niż tamte z psiej plaży i babcia Ania miałyby z nich dużo radości. Ale mama powiedziała, że wywoływanie zdjęć drogo kosztuje, a zrobione odbitki i tak już wypełniają szuflady. Więc tata tylko patrzył na te niby miasta, góry i kościoły, jakby chciał je zapamiętać, co było bardzo trudne, bo one się natychmiast zmieniały.

Spacerując rozmawialiśmy, ale nie o życiu, tylko o ważniejszych sprawach. O potworach zamieszkujących pod wodą, o kolorze wodorostów na skałach (były jaskrawozielone jak światła na skrzyżowaniach albo nawet różowe jak guma do żucia). Zbieraliśmy muszle o przedziwnych kształtach i fragmenty uschniętych ukwiałów lub koralu wyrzuconych na brzeg przez fale. Wyglądały jak koronkowe wachlarze albo chińskie filizanki, albo jak miniaturowe drzewa – bez liści, tylko z cieniutkimi, ułożonymi w skomplikowane wzory gałązkami. Psy też już nie uciekały. Szły przed nami, obwąchując niskie wydymowe krzaczki, czasem podnosząc nogę, czasem warcząc. Pewnie czuły, że chowają się tam jakieś jaszczurki czy króliki, ale bały się sprawdzać. One nie są za bardzo odważne.

Mama nie była zadowolona, kiedy przynosiliśmy z tej dzikiej plaży nasze znaleziska. W końcu dała się przekonać, że będą ładnie wyglądały w kuchni na najwyższej półce, a mnóstwo muszli, które zebrałam, ułożyliśmy w łazience dookoła wanny, tak że kąpiąc się w wannie mogłam sobie wyobrazić, że kąpię się w morzu i jestem małą syrenką. Bardzo polubiłam spacerować z tatą i jego opowieści. Trzeba przyznać, że czasem ma dobre pomysły i kiedy chce, jest z niego pożytek.

Pewnego razu żył sobie kaktus, który miał żonę i dwa tysiące dzieci. Któregoś dnia, kiedy wrócił z pracy do domu, powiedział:

–Bardzo mi się podobało w pracy, ale jeszcze bardziej chciałbym pojechać na plażę.

Wszystkim się ten pomysł spodobał, ale kaktus uznał, że nie może wziąć na plażę wszystkich swoich dwóch tysięcy dzieci, bo by ich nie mógł upilnować i mogłyby poniszczyć

wydmy lub wpaść pod samochód. Wybrał więc tylko jedną, ulubioną córeczkę.

Chodzą sobie po wydmach, oglądają najrozmaitsze rośliny i zbierają muszelki, aż tu zza krzaka wyskakuje na nich straszny potwór. Ma złotą muszlę na głowie, szatę z zielonych wodorostów i szczyrzy kły. Ale nie skrzywdził nikogo, kiedy zobaczył, że to tata kaktus ze swoją ulubioną córeczką. Wskoczył do morza i odpłynął.

Pan kaktus powiedział:

– A to nam narobiło stracha!

I odetchnął, klepiąc swoją córeczkę w plecki, które były kolczaste.

XIII

Babcia przyjechała do nas w marcu, czyli jak już była u nas jesień, a mimo to skarżyła się, że jest za gorąco. Mówiliśmy jej, że w lutym to było gorąco, przez tydzień co najmniej czterdzieści stopni, a od marca jest po prostu przyjemnie ciepło. To zresztą widać po psach. W styczniu Sun w ogóle nie chciał chodzić na spacer, tylko leżał w cieniu i dyszał albo gonił węża do podlewania ogrodu, żeby się napić. A od nastania jesieni obaj z Rolmopsem sami się proszą co wieczór o wyprowadzenie.

– Jak gorąco! – mówiła swoje babcia, głaszcząc kota. – Gdyby chociaż był basen!

– Mamy przecież ocean pod bokiem – odpowiadał urażony tata.

Ale babcia nie chciała się kąpać w oceanie. Nie może długo chodzić po piasku, bo bołą ją nogi i męczy się serce. Zresztą, jak mówiła, skoro w domu jest tak gorąco, to na plaży będzie jeszcze goręcej.

Ja babcie dobrze rozumiałam. Przyjemnie jest się od czasu do czasu zanurzyć w oceanie, ale basen to co innego! Wiem, bo przecież chodzę na lekcje pływania. Woda nie jest taka słono – gorzka, fale nie wlewają się do nosa, no i nie ma tego okropnego piasku, co się wszędzie wciska. Też chciałabym, żebyśmy mieli w ogrodzie basen. Żadna z moich koleżanek nie ma basenu. Ani Daniel Cosby, ani nawet Majka z Dżozsem, chociaż wujek Danek jest od nas bogatszy. Tylko że w ich ogrodzie basen by się po prostu nie zmieścił. A u nas jest miejsce w sam raz, na trawniku za domem, bo przecież z trawnika nie ma żadnego pożytku. Chyba że się trenuje golfa, jak poprzedni właściciel, sam tata tak mówił. No a żadne z nas nie gra w golfa. Alę nic nie mówiłam, bo wiedziałam, co rodzice odpowiedzą. Że basen jest strasznie drogi, że mam tyle zabawek, kaset i książek, dwa psy, kota i babcie i czego mi się jeszcze zachciewa. Kaprysy rozpieszczonej księżniczki. A do babci ani tata, ani mama nie powiedzą, że jest rozpieszczoną księżniczką, bo babcia jest starszą osobą i może mówić co chce. A poza tym nie wygląda na księżniczkę. Już raczej na królową.

Któregoś dnia wróciłam ze szkoły i widzę – psy szczekają, mama z babcią stoją w drzwiach do ogrodu i patrzą, a tata kręci się dookoła rozłożonych na trawniku plastikowych rurek. Coś tam przymierza i jest zły, jak zawsze, gdy coś robi.

W końcu skrzył okrągłe rusztowanie, na które naciągnął wielką kolorową płachtę z takiego materiału, z jakiego robi się nieprzemakalne płaszcze, i wyprostował się z dumą.

– Czego to ludzie nie wymyślą! – zawołał z podziwem. – Wystarczy tylko nalać wody.

To był składany basen! Nie za duży, choć na pudle od tych rurek naklejono zdjęcie, z którego wynikało, że w środku może się zmieścić cała rodzina i jeszcze dwoje dzieci sąsiadów. Czyli mogłam zaprosić Indirę i Ivana. Karel i tak jest za mały, żeby się z nami bawić. Nie mogłam się doczekać, aż tatuś naleje wody do naszego basenu, ale to musiało potrwać, bo nalewał z ogrodowego węża i oczywiście psy uznały to za znakomitą zabawę.

– Żeby tylko nie rozerwały powłoki – martwiła się mama. Niepotrzebnie, bo i Sun, i Rolmops bały się basenu. Węża się nie bały, bo już próbowały łapać zębami strumień wody, a to nie pomagało tacie w napełnianiu basenu.

– Śmieszna balia – powiedziała mama, ale kiedy przebrałam się w kostium kąpielowy, obiecała, że wejdzie ze mną. Tata był w świetnym humorze i uznał, że też się przyłączy.

– W upalne dni możemy grać w karty siedząc w wodzie! Zrobimy stół z Pacinej deski do pływania – wymyślił.

Tylko babcia miała niepewną minę, chociaż to przecież ona domagała się basenu.

Długo trwało napełnianie, więc pobiegłam do sąsiadów pochwalić się naszym nowym nabytkiem. Diana, mama Indiry i Ivana, złapała się za głowę i pobiegła do ogrodu, żeby przez

plot porozmawiać z tatą. Kiedy skończyła mówić (Argentyńcy bardzo dużo mówią, dużo i szybko), tacie zepsuł się trochę humor.

Okazało się, że taki mały basen jest bardzo niebezpieczny. Woda stoi w słońcu i wylęgają się w niej bakterie. Te najgroźniejsze nazywają się ameby i jak się połknie niechcący taką amebę, to jest się słabym i chorym do końca życia, trzeba więc codziennie wsypywać do wody specjalny proszek, a co dwa– trzy dni wymieniać całą wodę w basenie.

– To jest pół dnia roboty – powiedział tata.

– Pomyśl, ile kosztuje woda w Australii – dodała mama.

–I chemikalia – dorzuciła babcia.

Posmutniałam, bo kiedy rodzice zaczynają rozmawiać o pieniądzach, to niczego dobrego nie można się spodziewać. Ale mój tata jest kochany. Spojrzał na mnie i wcisnął mamie wąż do ręki.

– Skończ nalewać – powiedział – a ja pojedę po te proszki.

Po godzinie wrócił z wielkim białym słoikiem, a mama cały czas stała z tym wężem w ręku i narzekała, że nie zdąży nakarmić psów i zrobić kolacji. Basen wciąż nie był napelniony. Rzeczywiście robiło się już ciemno, a w Australii ciemno robi się bardzo szybko. Jest dzień – i zaraz potem noc. Prawie nie ma wieczoru. Musieliśmy odłożyć kąpiel, ale za to – powiedział tata – woda się nachloruje i niestraszne nam będą ameby.

Jak tylko wstałam, założyłam kostium i pobiegłam do ogrodu. Basen był gotowy, niebiesciutki w fioletowe i żółte kwiaty. Wyłowiłam sitkiem do herbaty komary, osy, muchy i liście, które pływały po powierzchni wody, i wskoczyłam do środka. Było cudownie! Zaczęłam wołać rodziców.

Pierwszy pojawił się tata. Był trochę zasnuty, ale uśmiechnął się do mnie i poszedł po kąpielówkę. Kiedy wrócił i ostrożnie wszedł do basenu, woda zafalowała i chlusnęła na trawnik. Chyba mama naląła jej odrobinę za dużo.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – Trawa się podleje. Gdzie mama?

Zaczęliśmy razem wołać mamę, ale najpierw wyszedł kot, a potem babcia. Psy biegały dookoła nas i ujadły, ale mama ma mocny sen.

– Czy to nie pęknie? – spytała babcia.

– Obliczone na całą rodzinę – uspokoił ją tatuś.

–I na Indirę, i Ivana – dodałam.

Babcia powiedziała, że dla niej za wcześnie na kąpiel, i wróciła do domu, zabierając kota. Bawiliśmy się z tatą w foki, nurkując i prychając, aż przyszła mama. Popatrzyła dziwnie na tatę.

– Jakie ty jesteś dziecko, Jacusiu – powiedziała.

– Jeszcze o tym nie wiesz? – śmiał się tata. – Chodź do nas!

– Chodź do nas! Chodź do nas! – wołałam, zachłystując się wodą. – Będiesz mamą– foką.

– Mama nawet przypomina fokę – palnął tatuś, co mamie się nie spodobało, bo nie lubi, kiedy jej przypominać o figurze. Mimo to poszła po kostium.

Kiedy wróciła w kostiumie, moim ulubionym, tym czarno– fioletowym z białym kołnierzykiem, szedł za nią kot, a za kotem – babcia. Psy też przystanąły, żeby zobaczyć, jak mama wchodzi do basenu, bo mama boi się wody.

No i z tego strachu oczywiście zaraz się pośliznęła, złapała za jedną z rurek, rozległ się trzask – i mama całym swoim ciężarem usiadła na plastikowej powłoce. Ta rozpruła się z sykiem i cała woda lunęła na trawnik. W jednej chwili siedzieliśmy mokrzy na ziemi i na czymś, co wyglądało jak pęknięty balon.

– I proszę! A już się zaczęłam zastanawiać, co by się stało, jak i ja bym weszła – powiedziała babcia, która jest jeszcze większa niż mama. I wszyscy zaczęli się śmiać.

Byłam okropnie nieszczęśliwa, że już nie mam basenu. Tymczasem babcia powiedziała do rodziców:

– No, dość tej zabawy. Idziemy się rozejrzeć, gdzie sprzedają prawdziwe baseny! Dziecku nie będę żalować.

– Ależ mamu, nie ma mowy, nigdy w życiu nie moglibyśmy przyjąć... – mówiła przerażona mama.

– Hurra! – wołaliśmy głośno ja i tata.

Nie wiem, czy ktoś ma taką wspaniałą babcię jak ja. Prawdziwy basen buduje się w Australii w jeden dzień. Przyjeżdżają robotnicy i bardzo małą koparką kopią w ogrodzie wielki dół. A potem zajeżdżają przed dom: wielki dźwig oraz kolosalna ciężarówka z basenem. Dźwig przenosi basen z ciężarówki, ponad dachem domu, do tego dołu. To wygląda tak, jakby ktoś wkładał do ogrodu ogromną wannę. Potem dokręcają do tej wanny różne rury, pompę – i już, gotowe. Następnego dnia można się kąpać.

Dźwig, który wkładał nam basen do ogrodu, zastawił całą ulicę, więc oczywiście wszyscy w szkole widzieli, co się u nas dzieje. Byłam bardzo dumna.

– Będziecie mieli basen – powiedział Daniel Cosby i widziałam, że był zazdrosny.

– Tak. Od jutra mogę zapraszać gości na basenowe party – odparłam, żeby wiedział, że i on może ewentualnie być zaproszony.

– Twój ojciec musi mieć dużo pieniędzy – stwierdził Daniel.

– Coś ty! Moi rodzice wcale nie mają pieniędzy i cały czas się martwią albo klóć. Basen kupiła mi babcia.

– Fajne macie w Polsce babcie! Mój dziadek jest bogaty, wiesz? Ojciec mówił, że kiedyś ja wszystko dostanę. Albo on. Zresztą on też jest bogaty, bo ma kredyt. Za ten kredyt kupiliśmy fordę. Ale basenu by mi nie kupił. Jak będę taki stary jak dziadek czy tata, to też będę miał kredyt i mnóstwo pieniędzy. Może wtedy kupię basen. Albo motorówkę. Motorówkę wolę, bo będę się uczył jeździć na nartach wodnych. A po basenie nie można, to co ci z basenu?

Tak powiedział i poszedł sobie.

Postanowiłam więc, że nigdy go nie zaproszę na basen. Ale jak się okazało, sama też nieprędko miałam w nim pływać. Następnego dnia woda była brudna i mętna jak w kałuży, tata włączał i wyłączał pompę, wrzucał do basenu całe worki specjalnej soli, czyścił go specjalnym podwodnym odkurzaczem – i nic. Nawet psy nie chciały wejść do tej wody. Tatusz zadzwonił do firmy, co założyła basen, i po dwóch dniach znowu przyjechali robotnicy. Okazało się, że ci poprzedni podłączyli coś nie tak jak trzeba i pompa zamiast czyścić wodę z mułu, pompowała muł do basenu. Ci nowi robotnicy bardzo się śmiali, ale rodzicom nie było wesoło. A najbardziej gniewała się babcia.

– Tacy partacze! – mówiła. – I w dodatku cały ogród zrujnowany!

To prawda, że ogród nie był już taki piękny jak przedtem. Kupy piachu przywaliły drzewa i kwiaty, a to, co zostało z trawnika, było całkiem rozjechane przez tę małą koparkę. Na dodatek jeden pan powiedział tatusiowi, że przez dwa miesiące trzeba podsypywać piach wokół basenu, bo ziemia osiada, i dopiero wtedy będzie można położyć takie ładne płyty. Robotnicy wykopali rury, połączyli je inaczej i znów zakopali. Kazali tatusiowi włączyć pompę i kiedy tatusz to zrobił, pokręcili głowami, że filtr się zapchał tym mułem, co płynął w niewłaściwą stronę. Tata się strasznie zdenerwował, zaczął krzyczeć, że basen miał być gotowy w jeden dzień, i co to ma znaczyć. Na to ten pan bardzo się zdziwił. Powiedział, że rozumie tatę, ale wszystko zostanie naprawione, więc po co się denerwować. W Australii nikt się niczym nie denerwuje i jak ktoś podnosi głos albo bardzo się czymś przejmuje, to wszyscy się dziwią i od razu wiedzą, że ten ktoś nie jest Australijczykiem.

Oczywiście w końcu było tak jak ten pan powiedział. Robotnicy naprawili co trzeba i po dwóch tygodniach mieliśmy piękny niebieski basen, z wodą przejrzystą jak kryształ.

Tyle że zaczęła się zima, lunęły deszcze i z kąpielą trzeba będzie poczekać do października.

Siedziałam sobie w oknie i przez strugi deszczu patrzyłam, jak psy podnoszą nogę przy moim basenie, i przyszła mi do głowy smutna bajka.

Był sobie raz bogaty kupiec. Miał piękną córkę, która szczęśliwie wyszła za mąż i urodziła ślicznego synka. Ale kupiec nie kochał ani córki, ani wnuczka. Był tak skąpy, że nie chciał mu kupić na urodziny żadnego prezentu. Chodził tylko co dzień do banku i liczył, ile ma pieniędzy. Zawsze myślał, że ciągle za mało.

Wreszcie zrobił się bardzo stary i zachorował. Lekarze powiedzieli, że umrze. Wtedy kupiec zrozumiał, że jego pieniądze zostaną dla córki i wnuczka. Tak się tym zdenerwował, że rzucił na nie zaklęcie i umarł.

Córka kupca, jej mąż i ich synek bardzo się ucieszyli z bogactwa. Kupili sobie nowy dom z basenem, nowe psy i samochody. Ale nie wiedzieli, że te pieniądze były zaklęte. W domu cały czas coś się psuło, woda w basenie była czarna, a psy ciągle się gryzły z innymi psami i wracały strasznie poszarpane. Sąsiedzi widzieli to wszystko i na wszelki wypadek nie lubili bogatej rodziny kupca, a z chłopczykiem nikt się nie bawił. I on był najbardziej nieszczęśliwy i nigdy nie znalazł sobie żony.

XIV

W lipcu przyszła prawdziwa australijska zima. Znienacka z nieba spadały straszliwe deszcze, takie, że z okien nie było widać ogrodu, woda występowała z brzegów basenu i ziemia się obsuwała wokół niego.

Co rano tata musiał zasypywać wielkie dziury i podnosić drzewa, które się przewracały. Kiedy mama z tatą je sadzili, to nie wiedzieli jeszcze, jakie wiatry wieją zimą w Australii, a wiały po nocach tak potężnie, że cały dom trzeszczał i huczał jakby był żaglem i mama w ogóle nie spała, bo bała się, że zerwie nam dach. Mama i tak boi się wszystkiego, a teraz doszedł jeszcze ten wiatr. Część miasta całkiem zalało i zamiast ulic były jeziora, po których biegały takie pomarszczone dreszcze, jak po psach, kiedy im się śni coś złego.

Specjalnie w tym czasie wypadały wakacje, żeby dzieci mogły sobie pojechać gdzie indziej, gdzie jest słońce i pogoda. Tatuś wymyślił, że zabierze mnie na północ, aż za zwrotnik, i pokaże, jak wygląda prawdziwa Australia. Zwrotnik to jest taka linia na kuli ziemskiej, gdzie odwraca się pogoda: jak po jednej stronie zwrotnika pada, to po drugiej jest pięknie. I na odwrót. Stąd ta nazwa.

– To prawie tysiąc kilometrów! – protestowała mama. – Ona nie wytrzyma takiej jazdy.

– Będziemy się przecież zatrzymywali po drodze – mówił tata. – Dziecko musi zobaczyć swoją nową ojczyznę.

Trochę się bałam, ale widziałam, że tacie bardzo zależy na tej wyprawie, więc powiedziałam, że wytrzymam.

– No nie wiem – wahała się cały czas mama. – Co babcia na to?

Ale babcia akurat włądziła pod łóżko, bo kot zgubił swoją szmacianą myszkę i był bardzo nieszczęśliwy, więc pomagała mu znaleźć zabawkę i nie brała udziału w rozmowie.

– Jak się tak o nią boisz, to jedź z nami – namawiał tata.

– I zostawię babcię z dwoma psami, kotem, wichurą i płatnościami?

– Jedź, jedź – powiedziała nagle babcia spod łóżka – dam sobie radę.

Babcia lubi, jak nikogo nie ma w domu, bo wtedy może bez przeszkód rozpieszczać zwierzęta. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, więc mama oświadczyła, że nie ma mowy, nie pojedzie, bo po powrocie okaże się, że mamy pięć psów, dwadzieścia kotów i jeszcze parę papug dla równego rachunku. A wszystko zapasione. Stało na tym, że jedziemy we dwójkę: tata i ja.

Tata umył i sprawdził samochód, dopompował koła i położył tylne siedzenia. Żebyśmy mieli gdzie spać, bo w środku Australii nie zawsze można znaleźć hotel. Ale kiedy mama zapakowała nam rzeczy i jedzenie na drogę, to zostało strasznie mało miejsca do spania. Zaproponowałam, żebyśmy kupili namiot, ale mama zaczęła się denerwować, że nie ma mowy, bo w nocy wleżą nam do namiotu węże i skorpiony, i dała tatusiowi więcej pieniędzy, żebyśmy już lepiej nocowali w hotelach. Powtórzyła też chyba z dziesięć razy, żeby tata ostrożnie prowadził samochód.

– Lepiej jechać dłużej, a powoli – mówiła, chociaż się na tym nie znała, bo jeszcze nie zrobiła prawa jazdy.

Tata jechał i tak powoli, bo padało i wiało. Ale zaraz za Perth skończyły się wzgórza i lasy i na szosie nie było żywej duszy, więc powiedział, że sprawdzi na co stać nasze autko – i zaczął jechać coraz szybciej. To było bardzo przyjemne. Po obu stronach znikał za nami busz pełen „black–boyów” z czarnymi nóżkami i roztrzepanymi czuprynami, z których sterczały w niebo śmieszne palce, a chmury układały się w takie śmieszne wzory. Pędziliśmy tak przez Australię, jakbyśmy mieszkali w niej sami, ale nagle tata przyhamował i zaczął patrzeć we

wsteczne lusterko. Odwróciłam się i przez deszcz zobaczyłam jadący za nami samochód z migającymi na dachu czerwonymi i niebieskimi światłkami.

– Skąd oni się tutaj wzięli? – mruknął tata, zły i przestraszony. To była policja. W Australii wolno jeździć tylko sto dziesięć kilometrów na godzinę, a my, jak się okazało, jechaliśmy sto sześćdziesiąt i tata musiał się tłumaczyć i zapłacić mandat, żeby mu nie zabrali prawa jazdy. Mandat był bardzo wysoki i kiedy tata już wsiadł do samochodu i ruszył dalej, to po jakiejś godzinie milczenia powiedział:

– No, teraz to naprawdę musimy nocować w aucie.

No i miałam rację, kiedy mówiłam, żeby kupić namiot!

Im dłużej jechaliśmy, tym ładniejsza robiła się pogoda. Dookoła cały czas było pusto, ale wcale się nie nudziłam, a jak się nudziłam, to zasypiałam. Potem zjechaliśmy na boczne drogi, całe z czerwonego piachu i żwiru, i ten piach unosił się za nami w ogromny warkocz. Kiedy zatrzymaliśmy się na siusiu, okazało się, że nasz samochód też jest cały czerwony od tego piachu i już wcale nie widać, że był myty. Ale tata mówił z zadowoleniem, że teraz wszyscy zobaczą, jacy z nas podróżnicy, a nie jakieś tam mieszczuchy. Tyle tylko że nikogo nie było, żeby to zobaczył.

Za to my zobaczyliśmy wielką jaszczurkę. Leżała na środku drogi i wcale się nie bała. Bardzo chciałam wziąć ją ze sobą, ale tata powiedział, że nie wiadomo, czy nie jest jadowita, a poza tym mamie mogłoby się to nie spodobać. Potem zobaczyliśmy orła siedzącego tuż przy drodze, a kiedy podjechaliśmy bliżej, okazało się, że siedzi na nieżywym kangurze. Tata mi wyjaśnił, że nocą tą drogą jeżdżą ciężarówki, oślepiają kangury światłami i kangury wpadają pod koła. Ale ten kangur był chyba zastrzelony. Farmerzy strzelają do nich, żeby nie wyjadały trawy owcom. Orzeł nie był zadowolony, że przerwaliśmy mu obiad, ale tata chciał sfotografować tego nieżywego kangura. Chodziły po nim mrówki. Strasznie się przejęłam tym biednym kangurem, a jeszcze bardziej następnymi, bo leżało ich wzdłuż drogi mnóstwo. Ale nie płakałam, bo nie lubię płakać przy tacie, a mama była daleko.

– Widzisz – powiedział tata i pogłaskał mnie po głowie – to jest prawdziwa Australia. Może być groźna i okrutna.

Rzeczywiście była groźna, bo kiedy mnie głaskał, to patrzył na mnie i zjechał z drogi w krzaki. Coś stuknęło i tata powiedział brzydkie słowo. Najechaliśmy na ostry kamień i trzeba było zmienić koło na zapasowe, które mieliśmy na szczęście w bagażniku. Kiedy tata zmieniał koło (bardzo długo, bo zdaje się nigdy tego jeszcze nie robił), chodziłam po buszu i zbierałam kwiatki dla tych biednych kangurów. Było strasznie cicho i wyobraziłam sobie, że jestem sama i muszę się zaprzyjaźnić z orłami i jaszczurkami. Żeby się mnie nie bały i nie uciekały przede mną, wzięłam z samochodu torbę z jedzeniem i nakruszyłam im na kamienie chleba i sera i trochę szynki, a dla tych kangurów, co nie wpadną pod ciężarówki, zostawiłam przy drodze jabłka.

Kiedy tata już założył zapasowe koło, pojechaliśmy dalej. Chyba znów przysnęłam, bo kiedy się obudziłam, nadchodził wieczór i staliśmy na brzegu drogi, pośrodku gołych, kamienistych gór.

– Benzyna się nam skończyła – wyjaśnił tata z taką miną, z jaką tłumaczy się mamie z nieprzewidzianych wydatków a zapomniałem, że na bocznych drogach nie ma stacji...

Tata kupił specjalnie kanister na zapasową benzynę, ale chyba mamusia wyjęła go z bagażnika, kiedy pakowała nam rzeczy na drogę. Więc staliśmy na poboczu i czekaliśmy na jakąś nocną ciężarówkę, żeby nam pomogła.

– No trudno – powiedział tata. –Przynajmniej zjemy kolację.

Bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył, że z kolacji też nic nie będzie, bo ją zużyłam na zaprzyjaźnianie się ze zwierzętami. Powiedziałam, że nie jestem głodna, tylko chce mi się pić. Musieliśmy być już niedaleko zwrotnika, bo zrobiło się gorąco, mimo że nadchodził zmierzch.

Tata pogrzebał w bagażniku i znowu powiedział brzydkie słowo. Mieliśmy tylko syrop z czarnej porzeczki, strasznie słodki. Woda się skończyła, kiedy tatuś mył ręce, twarz i kolano po zmienianiu koła. Więc usiedliśmy na kamieniu i milczeliśmy, patrząc, jak zachodzi słońce. Im się robiło ciemniej, tym więcej słyszeliśmy dookoła dziwnych głosów. Jakieś szelesty, piski, skrobania i prawie wcale nie było wiatru. Nagle zobaczyłam, jak poruszył się przede mną cały pagórek ciemnoczerwonej ziemi. Powiedziałam to szeptem tatusiowi, ale on burknął, że mi się tylko tak wydaje, bo to kopiec termitów – takich australijskich mrówek.

– Może się przeprowadzają – szepnęłam, ale tata powiedział, żebym przestała kłapać dziobem.

I miał rację, bo dzięki temu, że nic nie mówiłam, zobaczyłam, jak pagórek się prostuje, wysuwa do góry uszy – i tuż przy mnie stał wielki kangur i patrzył na nas z ciekawością. Był o wiele większy niż te oswojone, które karmiłyśmy z Mają w parku, i miał wielkie czarne błyszczące oczy. Tata chciał mu zrobić zdjęcie, ale jak tylko się ruszył, żeby sięgnąć po aparat, kangur się spłoszył i uciekł, odbijając się ogonem od ziemi jak piłka.

Znów siedzieliśmy w ciszy, tatuś już z aparatem w ręku, kiedy przez szosę, na wzgórzu, gdzie jeszcze zostało trochę światła ze słońca, przyszedł tanecznym krokiem struś emu. Strasznie żałowałam, że nic nie zostało z kolacji, bo strusie są łakome i ten na pewno byłby do nas podszedł. Tata był jednak zadowolony, bo udało mu się romantyczne zdjęcie.

Potem chwycił mnie za rękę i zawołał:

– Pomyśl sobie jakieś życzenie! Szybko!

Pomyślałam, że chyba chciałabym już wrócić do domu, na torturki z mamusią, do własnego łóżka z babcią i kotem, a tata pokazał mi daleko, daleko nad horyzontem spadającą gwiazdę. Więc życzenie musiało się spełnić. Tylko że ta gwiazda była bardzo dziwna. Spadała, spadała i rosła, a potem zamieniła się w dwie gwiazdy, a potem jeszcze z tych dwóch wyrosło pięć mniejszych, ułożonych w równy rząd. Usłyszeliśmy ryk – i przejechała koło nas wielka ciężarówka z trzema przyczepami pełnymi owiec.

Jeszcze nie skończyliśmy kasłać i otrzepywać się z kurzu, kiedy „spadająca gwiazda” się zatrzymała i wysiadł z niej Australijczyk w kowbojskim kapeluszu. Spytał, co się stało, a tata powiedział, że zabrakło nam benzyny. Tamten kierowca bardzo się śmiał i kazał nam nigdzie się nie ruszać i czekać, aż coś będzie jechało w drugą stronę. On zostawi wiadomość na najbliższej stacji benzynowej i pierwszy samochód jadący w naszym kierunku nam ją przywiezie. Tata dał mu pieniądze na benzynę i czekaliśmy dalej. Ale było już całkiem ciemno i nic już nie zobaczyliśmy, więc usnęłam.

Mimo że spadająca gwiazda okazała się ciężarówką, moje życzenie się spełniło. Kiedy nad ranem inna ciężarówka przywiozła nam benzynę, tata postanowił wracać. Powiedział, że jestem za mała na takie poważne wyprawy, a poza tym zostało nam niewiele pieniędzy, no i nie mieliśmy co jeść. W samochodzie coś stukalo i tata powtarzał, że mówił mamie: „Trzeba kupić dzipa, a nie taką mieszczańską limuzynę!” Jednak im bliżej byliśmy domu, tym lepszy miał humor i mówił, że i tak przeżyłam wielką przygodę i będę miała się czym pochwalić przed Dżozsem, Ivanem, Danielem i innymi moimi narzeczonymi. Tata nie wiedział oczywiście, że Daniel nie jest już moim narzeczonym.

– Zobaczyłaś kawałek prawdziwej Australii – powiedział tata, kiedy wjeżdżaliśmy w naszą ulicę.

Ale ja już patrzyłam na nasz dom, a potem na zdziwione twarze mamy i babci, podskakujące z radości psy i kota na płocie – i poczułam się taka szczęśliwa, że jestem u siebie. Tak jakby skończyły się najdłuższe wakacje w moim życiu i jakbym była wreszcie we własnym domu, takim jak w Monachium czy Szczawie. No bo przecież byłam!

Byłam w najpiękniejszej bajce na świecie!

